misje

SERCAŃSKI MAGAZYN MISYJNY

NR 1(2) 2022 | EGZEMPLARZ BEZCENNY



Sercanie NA FRONCIE

s. 38

Tropem filcowych meloników

s. 6

ISSN 2720-1473 02
9 772720 147303

zbieramto

KAŻDY TELEFON SIĘ LICZY

ZBIERAMY:

telefony z przyciskami ▪ smartfony ▪ tablety



PRZETWARZAMY

Do produkcji elektroniki używane są metale szlachetne, np. srebro i złoto. W procesie recyklingu metale te są odzyskiwane. Dlatego za każdy oddany sprzęt możemy otrzymać darowiznę.

POMAGAMY

Budujemy studnie w Tanzanii.

JAK PRZEKAZAĆ SPRZĘTY?

Prosimy o nadawanie listów poleconych lub paczek na adres:
Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn
tel. +48 537 411 405

REMONDIS® ELECTRORECYCLING

www.zbieramto.pl

OD REDAKCJI



DRODZY DARCZYŃCY MISYJNI,

to ogromna radość móc oddać w Państwa ręce kolejny egzemplarz sercańskiego magazynu „Misje". Wiem, że przez wielu był wyczekiwany. Po wydaniu pierwszego numeru dostaliśmy prośby o prenumeratę – nie dotarliśmy do Państwa z informacją, że na razie wydajemy nasze czasopismo w formie rocznika. Pomimo tego drobnego nieporozumienia takie prośby były dla nas nobilitacją i interpretuję je jako swoiste podziękowanie za wydanie magazynu. Przy tej okazji ja również dziękuję całemu Zespołowi, który przyczynił się do powstania kolejnego numeru „Misji". Dziękuję za Wasze zaangażowanie, cierpliwość i pasję tworzenia!

Naszym założeniem i pewnym marzeniem jest stworzenie „katolickiego National Geographic". Chcemy nie tylko pisać o potrzebach materialnych misji, ale również ukazywać wierzenia, kulturę, historię czy gospodarkę krajów, w których pracują misjonarze. Do treści pisanych dobieramy zdjęcia w taki sposób, żeby można było myślami przenieść się w miejsca, o których opowiada tekst. Mam nadzieję, że nam się to udaje. Miłej lektury.

ks. Piotr Chmielecki SCJ

zastępca Sekretarza Misji Zagranicznych
Księży Sercanów w Polsce



Boliwia, Czad, Naddniestrze – wszystkie te kraje reprezentują trzy zupełnie różne światy. Dzielą je kontynenty, klimat, kolor skóry mieszkańców, styl życia. Jest jednak coś, co je łączy. To obecność misjonarek i misjonarzy, do których trafia nasza pomoc.

W tym wydaniu dużo miejsca poświęciliśmy Boliwii, gdzie dzieci z domu dziecka w Santa Cruz obejmujemy programem Adopcja Nadziei. Miałam okazję poznać siostry, które prowadzą Hogar de la Esperanza, i jestem nimi szczerze zachwycona. O polskich misjonarkach, miejscu, w którym pracują, a także boliwijskim podejściu do życia przeczytają Państwo na pierwszych stronach tego numeru.

Jest jeden dział, którego nie planowaliśmy, ale w obliczu obecnej sytuacji w Europie nie mogło go zabraknąć. To wojna na Ukrainie. Zapraszam do przeczytania relacji ks. Piotra z pobytu w kraju objętym działaniami wojennymi, a także poruszającej historii Anheliny, która uciekając przed wojną, trafiła do sercańskiego domu zakonnego w Warszawie.

Dorota Pośpiech

redaktor naczelna

misje
SERCAŃSKI MAGAZYN MISYJNY

WYDAWCA Fundacja Missio Cordis, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa
ADRES REDAKCJI ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

KONTAKT dorota.pospiech@misjesercanow.pl | kontakt@misjesercanow.pl

REDAKTOR NACZELNA Dorota Pośpiech

WSPÓŁPRACA Maciej Moczydłowski

ASYSTENT KOŚCIELNY ks. Zbigniew Chwaja SCJ

PROJEKT GRAFICZNY Mateusz Miernik

ZDJĘCIA materiały Sekretariatu Misji Zagranicznych

AUTORZY TEKSTÓW ks. Piotr Chmielecki SCJ, ks. Jakub Szałek, ks. Marcin Januś SCJ, Dorota Pośpiech, Kamila Łazicka, Daniel Cieszyński, Szymon Osieleniec, Anhelina Fedorovska, Filippo Romeo

KOREKTA Katarzyna Tran Trang

ZESPÓŁ KOREKTORSKI Ewelina Biernaś, Małgorzata Gidaszewska, Halina Kozłowska, Wiktoria Rybus, Anna Rzonca, Joanna Strzelec, Martyna Włoch

Spis treści



BOLIWIA

Okiem reportera

6 **Tropem filcowych meloników**
– boliwijska rzeczywistość z europejskiego punktu widzenia

Adopcja Nadziei

12 **Dzieci skazańców**
– dzieciństwo za murami więzienia Palmasola

16 **Dom dziecka po boliwijsku**
– jak polskie misjonarki podnoszą standardy opieki nad dziećmi

CZAD

Wywiad z misjonarzem

20 **Być misjonarzem w Czadzie**
– rozmowa z ks. Jakubem Szałkiem o ewangelizacji w warunkach afrykańskich

28 **Tej radości nie zastąpi najnowszy mercedes**
– relacja Daniela Cieszyńskiego z budowy szkoły dla niewidomych dzieci w Czadzie

STUDNIE W AFRYCE

Tanzania

30 **Jak powstaje studnia w Tanzanii?**
– proces budowy studni na podstawie doświadczeń o. Adama Cytrynowskiego MAfr

Nowy projekt misyjny

34 **Budowa studni w Tanzanii – zakup sprzętu do wiercenia**
– opis projektu pomocowego

36 **10 rzeczy, których nie wiesz o studniach w Afryce**
– ciekawostki na temat budowy studni w Czadzie i Tanzanii





wojna na Ukrainie

Sercanie na froncie

38 **Dziennik z podróży na Ukrainę**
– relacja ks. Piotra Chmieleckiego SCJ z pobytu na sercańskiej misji

Wspomnienia Ukrainki

48 **100 dni wojny na Ukrainie**
– doświadczenia kobiety, żony i matki z kraju ogarniętego działaniami wojennymi

naddniestrze

Studia od Serca

50 **Dobrze, że jesteś**
– rozmowa z ks. Marcinem Janusiem SCJ, misjonarzem w Swobodzie-Raszkowie

Okiem wolontariusza

58 **Jestem dumny, że znam tych ludzi**
– relacja Szymona Osielańca z pobytu na wolontariacie misyjnym

63 **List Katii**
– stypendystki objętej programem Studia od Serca

zbieramto

64 **Żyj lokalnie, myśl globalnie**
– edukacja globalna na co dzień

66 **Każdy telefon się liczy**
– lokalny recykling odpowiedzią na globalny problem

68 **Sortownia afrykańskiego złota**
– nielegalne kopalnie złota i ich konsekwencje dla lokalnych społeczności

z życia sekretariatu

Raport

72 **Nasze projekty misyjne**
– mapa krajów, w których pomagamy

74 **Projekty zrealizowane w 2021 roku**




AMA KELLA JSUA
AMA KELLA AMA KELLA



Tropem filcowych meloników

Dorota POŚPIECH

Boliwia jest kolorowa. Kolorowe są spódnice i chusty niskich kobiet o krągłych kształtach i indiańskich rysach twarzy. Kolorowe są sprzedawane na ulicznych straganach owoce i gazowane napoje, których pełno na każdym kroku. Kolorowe są szyldy niewielkich sklepików i elewacje budynków, które często tworzą fantazyjne wzory niespotykane w europejskich miastach. Rzeczywistość jest już mniej kolorowa.



La Paz to siedziba boliwijskiego rządu i najwyżej położona stolica świata – leży na wysokości ponad czterech tysięcy metrów n.p.m. Miasto łączy się niepostrzeżenie z El Alto, tworząc zatłoczoną aglomerację zbudowaną na zboczach gór. Z lotu ptaka ściśnięte obok siebie budynki wyglądają jak rozsypane klocki Lego, które właściciel zaczął układać, ale ostatecznie rozmyślił się i zapomniał posprzątać. W całym tym procesie nie pomyślał nawet o przeczytaniu instrukcji. Zdecydowana większość domów to niewykończone straszydła z czerwonej cegły bez okien i drzwi, z wystającymi prętami. Budynki przyczyniają się do wyjątkowej brzydoty tego miasta (położonego przecież w pięknym miejscu), ale kto by się tym przejmował, skoro za niewykończony dom nie trzeba płacić podatku.

Zamiast metra funkcjonuje tu kilka linii kolejki gondolowej, która ułatwia przemieszczanie się z jednego zbocza na drugie. To zbawienie dla zatłoczonych ulic, po których poruszają się przede wszystkim białe mikrobusy poobklejane z każdej strony błyszczącymi naklejkami w różnych kolorach. Samochody osobowe to rzadszy widok. W stolicy jeździ za to dużo rozklekotanych taksówek, które za kilkanaście bolivianów dowiozą wszędzie, gdzie zażyczy sobie klient. Kierowcy przy okazji kursu często robią prywatne zakupy i załatwiają swoje sprawy. Na przykład podczas jazdy z turystami zatrzymują się przy ulicy i wrzucają na dach samochodu butle z gazem, które mocują do niego sznurkami. Ciężkie butle podaje nie kto inny jak sprzedawczyni, czyli korpulentna *cholita* w warstwowej spódnicy i kapeluszu. Taksówkarz jedzie dalej, nie przejmując się minami klientów, którzy właśnie zastanawiają się, czy nie wylecą w powietrze razem z butlami podskakującymi na dachu przy każdym wyboju.

> „Ulica żyje i zalewa swoją nieokrzesaną różnorodnością wszystko wokół. Różnorodnością lub chaosem, jak kto woli.

Uliczny groch z kapustą

Trzeba wiedzieć, że zakupy w Boliwii robi się przede wszystkim na ulicy. Podobnie zresztą jak wiele innych codziennych czynności. Ulica żyje i zalewa swoją nieokrzesaną różnorodnością wszystko wokół. Różnorodnością lub chaosem, jak kto woli. W La Paz całe miasto wygląda jak jeden wielki bazar (mieszkańcy



Ameryki Południowej powiedzieliby *mercado*). Co ciekawe, asortyment ułożony jest według ulic – są ulice kwiatowe, ubraniowe, spożywcze. Obok siebie stoją stragany wypełnione od stóp do głów tym samym towarem, od którego zazwyczaj mieni się w oczach. Chyba że są to jajka ułożone piętrowo na wysokość dorosłego człowieka. Wtedy oczy nie są już tak narażone na jaskrawe barwy, za to turyści przecierają je ze zdumienia, zastanawiając się, kto kupi taką ilość jajek, zanim zaczną wydawać fetor. Zresztą, docierające z różnych stron zapachy także przyprawiają o zawrót głowy.

Przy straganach zawsze koczują *cholity*, które na widok białego przechodnia nawołują do swojego interesu albo leniwie przeżuwają liście koki. Wiele z nich to matki



z kilkuletnimi dziećmi. Dzieci więc koczują razem z nimi. Śpią na kartonach, jedzą i bawią się na ulicy. Chociaż zabawa w ich przypadku to za dużo powiedziane. Zabawa kojarzy się ze swobodą, ruchem, kreatywnością. A dzieciństwo boliwijskich maluchów mija im na pomaganiu matkom w obsługiwaniu klientów i zachęcaniu do kupienia kolorowych pamiątek. Dzieci towarzyszą kobietom wszędzie – w pracy, w domu, na ulicy. Ale co innego miałyby z nimi zrobić, skoro przedszkole w tej części świata to pojęcie abstrakcyjne?

> *Cholity* reprezentują rdzenną grupę etniczną Indian Aymara. Pochodzą z gór i właśnie w tym regionie stanowią nieodłączny element boliwijskiego krajobrazu.

Krągłe kształty i warstwowe spódnice

Cholity reprezentują rdzenną grupę etniczną Indian Aymara. Można je spotkać w całej Boliwii, ale ponieważ pochodzą z gór, właśnie w tym regionie stanowią nieodłączny element boliwijskiego krajobrazu. Noszą charakterystyczny strój, w którym największą uwagę zwraca kapelusz lub melonik i warstwowa spódnica. Im więcej warstw, tym lepiej. Krągłe kształty są w Boliwii pożądane, a szerokie biodra kojarzone z płodnością. Podobno *cholity* zakładają nawet specjalną bieliznę uwypuklającą piersi i biodra. Byłoby to wytłumaczeniem wystających spod spódnic chudych łydek.

Spódnice są najczęściej w stonowanych, pastelowych barwach, na przykład beżowych, łososiowych czy błękitnych (co odróżnia je od jaskrawych i wzorzystych spódnic mieszkanek peruwiańskiej części Andów). Kolory spódnic, ich warstwy oraz nakrycia głowy są różne w zależności od pozycji społecznej. Po ułożeniu melonika wiadomo z kolei, czy kobieta jest panną, mężatką czy wdową. Nieodłącznym elementem *cholity* jest także chusta z *aguayo*, która służy do noszenia dzieci i zakupów, przeważnie na plecach. *Aguayo* to typowy dla rdzennej ludności Ameryki Południowej materiał, kiedyś ręcznie tkany na krosnach, obecnie zaś wytwarzany maszynowo. Ma charakterystyczne różnobarwne paski i wzory inspirowane lokalnymi wierzeniami. Wszystko, co zrobione z *aguayo*, jest w jaskrawych kolorach. Chabrowy, zielony, różowy, żółty – do wyboru, do koloru.

Angielskie meloniki i hiszpańscy święci

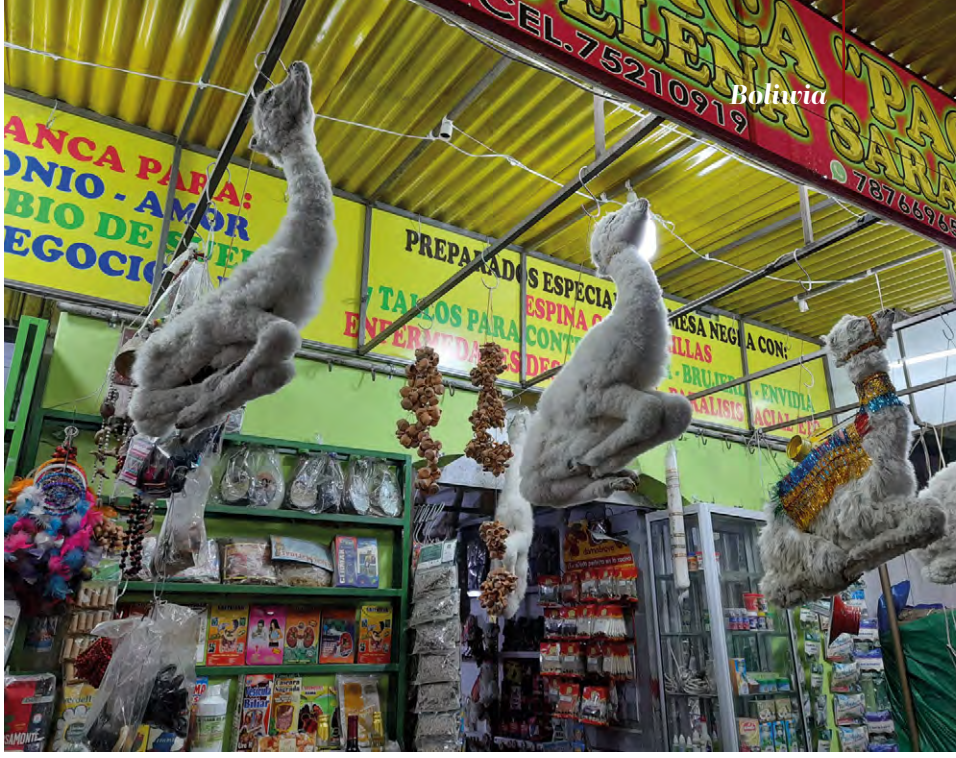
O ile różnobarwny, ciepły i sztywny materiał nazywany w Boliwii *aguayo* można spotkać także w innych krajach Ameryki Południowej, o tyle zupełnie zbić z tropu może popularność meloników wśród kobiet Aymara. Czarny filcowy kapelusz przywodzi na myśl raczej Charliego ►



Chaplina niż przedsiębiorczą Indiankę. W końcu ten typ nakrycia głowy swego czasu upodobali sobie angielscy dżentelmeni. I okazuje się, że to dobry trop. *Cholity* nie noszą filcowych kapeluszy z rondem od zawsze. Czarne meloniki trafiły do tej części świata w czasach kolonizacji za sprawą brytyjskich pracowników kolei. Wszystko byłoby po staremu, gdyby się nie okazało, że kapelusze są zbyt małe i nie mieszczą się na głowach białych przybyszów. Tyle towaru transportowanego miesiącami z drugiego końca świata nie mogło się jednak zmarnować. Szukano więc znawców europejskiej mody wśród lokalnej ludności. Ponieważ boliwijscy mężczyźni ani myśleli nakładać na głowę dziwacznych wytworów angielskich projektantów, zachętę do noszenia meloników skierowano na bardziej podatny grunt, czyli do kobiet. I tak od 200 lat melonik jest dumą narodową Boliwijek. *Cholity* przekazują go z pokolenia na pokolenie jako tradycyjny element stroju. I nawet anglosaskie korzenie tego modnego dodatku nie mają już znaczenia.

> Zupełnie zbić z tropu może popularność meloników wśród kobiet Aymara. Czarny filcowy kapelusz przywodzi na myśl raczej Charliego Chaplina niż przedsiębiorczą Indiankę.

Meloniki to nie jedyna pozostałość po białych kolonizatorach. Ślady ich obecności to chociażby strzeliste kościoły z figurami świętych ubieranych w stylu charakterystycznym dla hiszpańskiego katolicyzmu. Maryja ma rozłożyste balowe suknie, a Jezus królewskie szaty. Administracyjna stolica kraju, Sucre, zwana Białym Miastem, wygląda jak przeniesiona żywcem z Hiszpanii. Bielone fasady budynków z czerwoną dachówką, wąskie brukowane uliczki – zwłaszcza w centrum miasta nie dają zapomnieć o konkwistadorach. Klimat tego miejsca oraz zapierające dech w piersiach widoki okolicznych gór psują jedynie kable telekomunikacyjne zwisające wszędzie i poplątane we wszystkich możliwych konfiguracjach.



> Nikt tutaj nie dziwi się taksówkarzowi, który pyta uliczną przekupkę: „Po ile koka?" (*Coca cuanto?)* zaraz po okazaniu dokumentów policjantowi.

Boliwijskie standardy

I to by było na tyle, jeśli komuś przyszłoby do głowy, żeby w Boliwii poczuć się jak w Europie. Poza nielicznymi elementami styl życia Boliwijczyków zaskakuje na każdym kroku. Weźmy pod lupę chociażby zasady ruchu drogowego. Kto pierwszy, ten lepszy (a jak wiadomo, każdy chce być pierwszy, więc wszyscy jadą naraz). Policja? Zdarza jej się kontrolować pojazdy i podróżujących nimi pasażerów. Sprawdza dokumenty, czasem przeszukuje bagaże. Tyle że przy punktach kontroli, gdzie stacjonują funkcjonariusze, przechadzają się *cholity* sprzedające… liście koki. Nie mylić z kokainą. Nikt tutaj nie dziwi się taksówkarzowi, który pyta uliczną przekupkę: „Po ile koka?" (*Coca cuanto?*) zaraz po okazaniu dokumentów policjantowi. Liście koki pozwalają przetrwać chorobę wysokościową i należą do boliwijskich skarbów narodowych.

W mieście można spotkać paradujące chodnikiem osły czy lamy (często prowadzone na sznurku), na wsi – ciężarówki i podróżujące motocyklem całe rodziny. Zresztą, podróżowanie i sposoby przemieszczania się w Boliwii to kolejny temat, który może Europejczyka nieco zdziwić. W nocnych autokarach, które są najbardziej popularnym środkiem transportu (jeśli chodzi o przemieszczanie się między miastami), częstym widokiem są obwieszone tobołkami samotne matki. Podróżują z dziećmi, zazwyczaj bardzo małymi. Dziecko, podobnie jak zakupy i inne przewożone rzeczy, zawinięte jest w chustę z kolorowego *aguayo*. Do tego przewieszony przez ramię gruby, ciepły koc – niezbędny element podczas zimnych nocy w autokarze. Surowy klimat górski nie rozpieszcza, więc trzeba być przygotowanym na wszystkie ewentualności. Tylko niedoświadczeni turyści z Europy po długiej trasie górskimi drogami, zmęczeni i zziębnięci, na próżno oczekują ogrzewanych pokoi hotelowych, w których mogliby wygrzać skurczone po wielu godzinach podróży kości. Ale czy to naprawdę powód do zdziwienia? Czymże jest nieogrzewany pokój wobec płodów lam czy innych składników magicznych rytuałów sprzedawanych na targu czarownic w La Paz? Czy po kilku dniach spędzonych w Ameryce Południowej coś jeszcze może zaskakiwać? ▪





Dzieci skazańców

Dorota POŚPIECH

Do domu dziecka w Santa Cruz w Boliwii dzieci trafiają prosto z więzienia Palmasola. Zgodnie z boliwijskim prawem dzieci do szóstego roku życia mogą przebywać z rodzicami w zakładzie karnym. Już od wczesnego dzieciństwa doświadczają deprawacji. Są głodne, brudne, zaniedbane. Padają ofiarą przemocy i wykorzystywania seksualnego.

Korupcja, przestępczość, ogromne nierówności społeczne, kulejąca gospodarka. Boliwia to kraj, który boryka się z problemami charakterystycznymi dla wielu państw Ameryki Łacińskiej. Wszystko to powoduje, że 58% boliwijskich rodzin żyje w slumsach, w domach bez dostępu do bieżącej wody i toalety. Aby zarobić na jedzenie, mieszkańcy chwytają się doraźnych prac. Żyją z dnia na dzień. Większości rodziców nie stać na edukację swoich dzieci, która w Boliwii jest płatna.

Prawo krwi i ognia

Ogromne dzielnice nędzy powstają na przedmieściach dużych miast. Jednym z takich miejsc jest południe Santa Cruz. Tam właśnie znajduje się największe w Boliwii więzienie o zaostrzonym rygorze – Palmasola. W niczym nie przypomina ono zakładu karnego w zachodnim znaczeniu tego słowa. Za murami z drutem kolczastym są ulice, bary, ośrodki zdrowia. Przebywa tam nawet osiem tysięcy osób, z czego tylko połowa to więźniowie. Reszta to ich partnerzy i dzieci.

To miasto w mieście rządzi się swoimi prawami. Życie organizują tu nie strażnicy, a więźniowie. Na teren Palmasoli bez większego problemu

przemyca się narkotyki i broń. Co jakiś czas wybuchają zamieszki wśród więźniów. Panuje tu brutalne „prawo krwi i ognia", co oznacza działanie bez żadnych skrupułów. Zasady ustalają tzw. *gapos* – przestępcy będący najwyżej w więziennej hierarchii. Wynajem celi kosztuje 250 dolarów za rok. Ci, których na to nie stać, śpią na ulicy razem ze swoimi rodzinami.

Dzieci z wyrokiem

Zgodnie z boliwijskim prawem dzieci do szóstego roku życia mogą przebywać z rodzicami w więzieniu. W praktyce oznacza to, że dzieci mimowolnie odbywają karę razem z rodzicem skazanym na kilka lub nawet 25 lat pozbawienia wolności. Na sam wyrok sądu w Boliwii czeka się latami. Według danych *Asociación de Víctimas Judiciales de Santa Cruz*, czyli Stowarzyszenia Ofiar Sądowych w Santa Cruz, 70% skazańców z Palmasoli jest aresztowanych tymczasowo, a tylko 30% ma prawomocny wyrok.

Oficjalnie na terenie więzienia nie przebywają dzieci powyżej szóstego roku życia, w związku z czym nie ma tam szkół. Działa jedynie przedszkole prowadzone przez siostry werbistki. Gdy dziecko skończy szósty rok życia, to zgodnie z prawem powinno trafić do domu dziecka albo do rodziny adopcyjnej. Niestety w wielu przypadkach to tylko teoria. W rzeczywistości dzieci skazańców chodzą do pobliskiej szkoły znajdującej się poza terenem więzienia. W samej Palmasoli od kilku lat działa placówka pomocy edukacyjnej dzieciom w wieku szkolnym, która została utworzona przez tamtejsze Ministerstwo Edukacji.

Przemoc rodzi przemoc

Dzieci więźniów narażone są na deprawację od wczesnego dzieciństwa. Padają ofiarą molestowania seksualnego i przemocy. Jako jedyne mogą opuszczać więzienie, dlatego często są wykorzystywane do przemytu broni czy narkotyków. Są niedożywione, brudne, zaniedbane. Śpią na ulicach i w rynsztokach.

Co jakiś czas o więzieniu Palmasola robi się głośno w mediach. Trzy lata temu prasę obiegła historia kobiety, której policja skonfiskowała telefon komórkowy. Po wstępnym wywiadzie okazało się, że podejrzana przyprowadzała do więzienia swoją ośmioletnią córkę, by ta świadczyła usługi seksualne innym więźniom. W telefonie matki znaleziono ponad 50 nagrań z pornografią dziecięcą z udziałem trójki jej dzieci. Dowody świadczą o tym, że ▸





sama również wykorzystywała seksualnie swoje dzieci.

Nadzieja na normalność

Po każdej medialnej wrzawie dotyczącej nadużyć w więzieniu Palmasola władze podejmują działania mające na celu unormowanie sytuacji prawnej dzieci. Często są to działania pozorne i nie likwidują problemu. Obecnie w pawilonie męskim nie mogą już żyć całe rodziny, a dzieci powinny przebywać tylko w pawilonie dla kobiet. Zauważalna jest też wyraźna tendencja do umieszczania dzieci więźniów w domach dziecka.

Jednym z takich miejsc jest Hogar de la Esperanza (czyli Dom Nadziei) w dzielnicy Zona Norte, od 2014 roku prowadzony przez siostry serafitki. Pracują tam obecnie cztery siostry z Polski, a także m.in. psycholog oraz pracownik socjalny. „Hogar de la Esperanza pełni funkcję domu dziecka. Dla większości podopiecznych jest to jedyny dom, jaki mają i jaki znają. Nasz dom powstał z myślą o dzieciach więźniów. 20 lat temu, kiedy został otwarty, w Palmasoli było bardzo dużo dzieci, gdyż w więzieniu żyły całe rodziny i potrzeba była ogromna. Z czasem zaczęto ograniczać liczbę dzieci w więzieniu i wysyłać je do domów dziecka. Dlatego obecnie większość naszych wychowanków to dzieci więźniów, ale mamy też pod opieką dzieci odebrane rodzicom, porzucone, zaniedbane, doświadczające przemocy fizycznej, psychicznej, seksualnej; sieroty socjalne i realne. Dzieci są do nas kierowane z *Defensoría de Niños*, czyli Wydziału ds. Dzieci" – mówi s. Bonawentura Barcik.



Adopcja Nadziei

Każde dziecko trafiające do Hogar de la Esperanza ma swoją historię, której ciężaru nie uniósłby niejeden dorosły. W domu dziecka prowadzonym przez siostry otrzymują wsparcie psychologiczne, dzięki któremu uczą się żyć z przeszłością. Przede wszystkim jednak w Hogar de la Esperanza jest ktoś, kto poświęca im czas i dba o ich rozwój, także moralny. Dopiero tutaj dzieci mogą być dziećmi i nie muszą myśleć o tym, czy będą miały co zjeść i gdzie przenocować. Mają zapewnioną opiekę i poczucie bezpieczeństwa. Czują się kochane i doceniane.

Z tych właśnie względów Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów obejmuje wsparciem materialnym i duchowym podopiecznych Hogar de la Esperanza. Na stronie www.misjesercanow.pl można wesprzeć projekt „Adopcja Nadziei w domu dziecka w Boliwii", a także podjąć się regularnych wpłat na rzecz dzieci. Adopcja ma charakter zbiorowy, a rodzic adopcyjny otrzymuje kilka razy do roku list i zdjęcia od podopiecznych. Gorąco zachęcamy do pomocy dzieciom więźniów z Palmasoli! ▪





Jak podjąć Adopcję Nadziei?

Adopcja Nadziei umożliwia stałą pomoc wszystkim podopiecznym domu dziecka w Boliwii. Osoby, które chcą uczestniczyć w programie „adopcji", prosimy o wpłatę minimum 45 złotych miesięcznie przez rok. Aby zadeklarować regularne darowizny, należy wpisać w tytule przelewu „Adopcja Nadziei – deklaracja stała". Można to zrobić za pomocą tradycyjnego blankietu (ostatnia strona magazynu) lub na stronie **www.misjesercanow.pl**.









Dom dziecka po boliwijsku

Dorota POŚPIECH

W słowniku synonimów *dom dziecka* to inaczej: przytułek, sierociniec, bidul. Jakie emocje wywołują wszystkie te określenia? Czy kojarzą się z ciepłem, zaopiekowaniem, radością, przytulnym i dobrze wyposażonym miejscem? Czy raczej ze smutkiem, emocjonalnym chłodem i odpadającym tynkiem?



Boliwia

Ze względu na swoje życiowe wybory i pedagogiczne zapędy miałam okazję odwiedzić kilka domów dziecka osadzonych twardo w polskich realiach. Widziałam szare budynki rodem z PRL-u, duże jadalnie ze stolikami nakrytymi ceratą i pokoje rekreacyjne z telewizorem w centralnej części pomieszczenia. Słuchałam historii dzieci, których rodzice zamiast paczki pampersów kupowali pół litra wódki. Obserwowałam pracę wychowawców, którzy zmieniali się co 12 godzin, bo kończył się ich dyżur. Z biegiem lat poznałam też system, który skazuje dzieci na tułaczkę po kolejnych placówkach – od domu małego dziecka po ośrodek dla trudnej młodzieży. A na koniec oferuje mieszkanie socjalne z grzybem na ścianach i butelkami po piwie zostawionymi w spadku po poprzednich lokatorach. Oczywiście zdarzają się lepsze zakończenia bajki o sierotce Marysi. Wychowawcy z pasją, kolorowe szuflady we własnej (a nie dzielonej wspólnie z innym wychowankiem) szafce i dobrze prowadzone terapie psychologiczne, które pozwalają pozbyć się demonów przeszłości. Mimo to wizyty w większości placówek opiekuńczych w Polsce nie napawają optymizmem.

Z takimi doświadczeniami pojechałam na misje do Boliwii, gdzie mogłam zobaczyć, jak działa dom dziecka prowadzony przez polskie misjonarki. Co tam zastałam?

Miejsce

Zaskoczyło mnie już samo miejsce. Dom dziecka w Santa Cruz, prowadzony obecnie przez siostry serafitki, to nie jeden kilkupiętrowy moloch z poszarzałą elewacją, a kilka parterowych budynków z czerwonej cegły zbudowanych wokół trzech dziedzińców. Każdy taki dziedziniec tworzy wewnętrzny ogród z zadbanym trawnikiem i charakterystyczną dla tego regionu roślinnością (a to przecież dżungla!). Na środku jednego z nich jest klatka z papużkami falistymi, które podopieczni dostali z okazji Dnia Dziecka (w Boliwii nie jest obchodzony w czerwcu, ale 12 kwietnia).

> Przez kilka lat siostry walczyły z wszami we włosach dzieci. Problem był tak duży, że do oczyszczania skóry dzieci z tych pasożytów była zatrudniona dodatkowa osoba (!).

Wjeżdżającym główną bramą na teren placówki w oczy rzuca się napis: Hogar de la Esperanza, czyli Dom Nadziei. Mam nadzieję, że każde dziecko trafiające tu ze swoją bolesną historią na widok tego napisu chociaż przez chwilę pomyśli, że teraz może być już tylko lepiej. Pod warunkiem oczywiście, że umie czytać.

Hogar ma wiele pomieszczeń, a poziomu ich wyposażenia mogłaby pozazdrościć niejedna placówka w Polsce. Poszczególne grupy dzieci mieszkają w oddzielnych domach. W każdym z nich są sypialnie, łazienki, pralnia. Pozostałe pomieszczenia to części wspólne. Oprócz jadalni i kaplicy są sale do odrabiania lekcji, biblioteka, sala komputerowa, sala taneczna. Jest wyłożona tartanem sala gimnastyczna, w której w jednym rogu stoi basen z kulkami, a w drugim – kolorowe maty i klocki do ćwiczeń. Pracownik socjalny, psychopedagog i psycholog mają swoje biura, w których prowadzą zajęcia indywidualne. Lekarka i pielęgniarka przyjmują dzieci w ambulatorium, gdzie przeszklona gablotka z lekami zajmuje całą ścianę. Najnowszym pomieszczeniem w domu dziecka jest przytulny i nowocześnie wyposażony gabinet dentystyczny. ▸



Ludzie

W Hogar de la Esperanza, podobnie jak w innych domach dziecka, zatrudnieni są wychowawcy, kucharki czy specjaliści od opieki psychologicznej, którzy pracują w systemie zmianowym. Oznacza to, że są z dziećmi po kilka godzin, a potem wracają do swoich rodzin. W psychologii dużo mówi się o tym, że brak stałego opiekuna ma negatywny wpływ na rozwój emocjonalny, szczególnie małych dzieci. Dom Nadziei ma dużą przewagę nad innymi placówkami tego typu. Mieszkają tam cztery zaangażowane w swoją pracę siostry zakonne, które są obecne 24 godziny na dobę. I co najważniejsze – są dla dzieci jak prawdziwe matki.

Siostra Bonawentura jako dyrektorka Hogar de la Esperanza ma wiele na głowie. Zajmuje się zatrudnianiem pracowników, remontami, naprawami, odpowiada za kontakt z sądem i rodzicami biologicznymi dzieci. Siostra Bona jest dyrektorką, ale jej biuro nie przypomina gabinetu dyrektora. Na jednym stole rozłożone są puzzle, przy niskim stoliku leżą dziecięce zabawki, przy ścianie stoi tablica. Dzieci przychodzą tu odrabiać lekcje, nauczyć się dzielenia albo po prostu spędzić czas wolny. Czasem siostra pozwala im przybijać pieczątki na dokumentach. Kiedy robi rozliczenia i musi się skupić, dzieci wiedzą, że nie można jej przeszkadzać, ale przychodzą, jak tylko skończy.

Siostra Daria zajmuje się zakupami, logistyką, dba o wszystkie potrzeby materialne dzieci. W Hogarze jest ich obecnie 56. Każde z nich potrzebuje bielizny, ubrań, butów. Najczęściej zużywają się te ostatnie. Siostra kupuje więc mnóstwo klapek i sandałów (to najbardziej popularne obuwie w Boliwii). Wszystko w odpowiednich rozmiarach i ulubionych kolorach dzieci. Do tego środki czystości oraz produkty do kuchni: warzywa, owoce, zapas ryżu do magazynu, mięso. Lista jest długa, a zakupy czasochłonne. Dlatego *mercado*, czyli boliwijski rynek z ulicznymi

> „Kiedy słuchałam rozmów sióstr, miałam głębokie przeświadczenie, że doświadczają one iście rodzicielskiej codzienności. Rzadko się wysypiają, rzadko wychodzą z domu i rzadko jedzą śniadanie o stałej porze, bo nie mają na to czasu.



straganami, na których można kupić wszystko, jest jej drugim domem. Siostra Daria ma także wyjątkowy talent kulinarny. Kiedy panie kucharki mają wolne, siostra Daria zabiera dzieci do kuchni. Razem gotują i pieką ciasta. Dzieci uwielbiają pomagać siostrom w codziennych obowiązkach.

Siostra Andrea prowadzi katechezy i przygotowuje dzieci do sakramentów: chrztu, komunii i bierzmowania. Dba o wystrój kaplicy, tworzy dekoracje na uroczystości i święta liturgiczne. Po szkole pomaga dzieciom odrabiać lekcje w *sala de apoyo*, czyli klasie przeznaczonej do nauki. Ci, którzy potrzebują dodatkowej pomocy, mają z nią indywidualne ćwiczenia. Siostra z nieskończonymi pokładami cierpliwości uczy dzieci czytać, pisać, liczyć. A kto kiedykolwiek próbował wytłumaczyć dziecku mającemu problemy z koncentracją, że 2 + 2 = 4, ten wie, że nie jest to łatwe zadanie.

Siostra Bernarda pełni funkcję pielęgniarki, lekarki i dietetyczki. Zwłaszcza w grupie małych dzieci co chwila zdarzają się przeziębienia i infekcje. Kiedy jedno dziecko choruje, zaraża się następne, potem kolejne i za kilka dni większość grupy jest już chora. Dlatego siostra dużą wagę przywiązuje do wzmacniania odporności. Stale walczy też z niedożywieniem. W swoim ambulatorium robi dzieciom inhalacje, daje lekarstwa, opatruje i zszywa rany, wyciąga wszy piaskowe, które wchodzą pod skórę.

Przez kilka lat siostry walczyły z wszami we włosach dzieci. Problem był tak duży, że do oczyszczania skóry dzieci z tych pasożytów była zatrudniona dodatkowa osoba (!). Dzieci najbardziej zaniedbane, oprócz wszy różnego rodzaju, miały także plamy na ciele (najczęściej na głowie) spowodowane grzybicą. Właściwie każde nowe dziecko, które trafiało do Hogar de la Esperanza, przynosiło ze sobą jakąś chorobę spowodowaną brakiem higieny, np. świerzb, pasożyty, grzybicę czy wszawicę.



Rodzina

Kiedy słuchałam rozmów sióstr, miałam głębokie przeświadczenie, że doświadczają one iście rodzicielskiej codzienności. Rzadko się wysypiają – bo przecież dzieci chorują, trzeba im podawać w nocy lekarstwa, a w niektórych sytuacjach jechać od razu do lekarza. Rzadko wychodzą z domu (oczywiście poza zakupami i sprawami do załatwienia) i rzadko jedzą śniadanie o stałej porze, bo nie mają na to czasu. Ich głowy zajmują myśli o składnikach na obiad, okresowych sprawdzianach dzieci, cieknących kranach i zniszczonych butach. Jednocześnie są emocjonalnie dostępne i szczerze zatroskane o los wychowanków. Zawsze mówią, że są to po prostu ich dzieci.

Mimo takiego podejścia i zaangażowania sióstr większość podopiecznych Hogar de la Esperanza nadal marzy o prawdziwej rodzinie. Chłopiec czy dziewczynka, starsze czy młodsze – każde z tych dzieci chciałoby mieć swój dom, mamę i tatę tylko dla siebie. Cztery polskie misjonarki, mimo najlepszych chęci, nie mogą im tego dać. Ale tworzą miejsce, które zapewnia trafiającym tu dzieciom stabilizację, ciepło, stałe posiłki, dostęp do leczenia, czas na naukę, zabawę i rozwijanie swoich pasji. To dużo więcej, niż dali im biologiczni rodzice. Dużo lepiej niż dzieciństwo, w którym codziennością są brudne ulice, pusty brzuch, obrazy przemocy, strach i niepewność. ▪



Być misjonarzem w Czadzie

Ksiądz Jakub Szałek pracuje w Czadzie od 2005 roku. W tym czasie w ramach współpracy z Sekretariatem Misji wybudował ponad 50 studni głębinowych. Obecnie stanął przed wyzwaniem stworzenia nowej misji w Lai. W rozmowie z księdzem Piotrem Chmieleckim SCJ mówi o swoim doświadczeniu ewangelizacji w warunkach czadyjskich.


16M
2525A



ks. Piotr Chmielecki SCJ: Ile lat pracujesz na misjach w Czadzie?

ks. Jakub Szałek: 16 lat. Do Czadu przyjechałem w 2005 roku, dokładnie 14 września – to jest pamiętna data dla mnie, ponieważ jest to święto Podwyższenia Krzyża Świętego. Pierwsze dwa lata byłem na jednej misji, która nazywa się Deresia, potem osiem lat w Batchoro, potem sześć lat w Dumugu i teraz po wakacjach wracam na taką dziewiczą placówkę, gdzie są niecałe cztery hektary ziemi i trzeba tam stworzyć nową misję.

To jest druga misja, którą zaczynasz od zera?

Tak, druga od zera. Pierwsze dwa miejsca, do których trafiłem, to placówki misyjne, gdzie kościół, szkoła i plebania były już wybudowane. Ale jeśli chodzi o zaczynanie od zera, jest to moja druga misja.

> Kościół staje się miejscem pełnym miłości, gdzie głoszenie Ewangelii to nie tylko sucha teoria. A to przekłada się na czyny. Dzięki temu budujemy studnie, przychodnie, szkoły.

I od czego to wszystko się zacznie?

Zaczniemy od wykopania studni. Odezwało się do mnie stowarzyszenie Pomoc Kościołowi w Potrzebie, że pewne małżeństwo lekarzy chce sfinansować budowę studni. Napisał do mnie pan z tej organizacji, czy nie zaangażowałbym się w budowę studni. Ja oczywiście się zgodziłem i powiedziałem, że to się bardzo przyda. Chcemy też zbudować salę, która będzie służyła jako kaplica. Pragniemy również zbudować szkołę podstawową, będziemy szukać funduszy razem z biskupem, żeby to sfinansować. Więc to są trzy główne punkty: studnia, sala spotkań i pierwszy budynek szkoły z trzema klasami.

Dumugu to taka większa wioska, a teraz przechodzisz do miasta. Czym zajmowali się Twoi parafianie w Dumugu, a czym zajmują się w Lai? Co jest źródłem ich utrzymania?



Wielkiej różnicy nie ma, dlatego że w Czadzie to może tylko stolica i trzy wielkie miasta różnią się od pozostałych miejscowości, ale tam, gdzie byłem, w Dumugu, są głównie rolnicy zajmujący się uprawą ryżu i sorgo. Tutaj, w Lai, to też w większości rolnicy. To jest miasto, ale tak naprawdę to taka duża wioska, też uprawia się ryż, sorgo i orzeszki ziemne. W Lai jest rzeka Logon i część ludzi zajmuje się rybołówstwem – łowi i sprzedaje ryby. Nie ma jednak jakiejś spektakularnej różnicy, to jest prawie to samo.



Była mowa o triadzie ewangelizacyjnej, ale może powiesz, jak wygląda ewangelizacja w warunkach czadyjskich?

Naszym głównym zajęciem jest przygotowywanie ludzi do sakramentu chrztu. Bo trzeba pamiętać, że w Czadzie chrześcijaństwo jest od niecałych 100 lat. Dzieci swoją katechezę rozpoczynają w wieku siedmiu lub ośmiu lat. Wynika to z tego, że niewiele jest tu rodzin, w których oboje rodzice są ochrzczeni czy mają ślub i mogą ochrzcić swoje dzieci. Katecheza trwa cztery lata, następnie w Wielkanoc odbywa się Chrzest razem z Pierwszą Komunią Świętą, potem przez dwa lata trwa przygotowanie do bierzmowania. To dzięki Słowu Bożemu ludzie pragną być ochrzczeni. Państwo niezbyt angażuje się w działania socjalne, edukację czy ochronę zdrowia. Dlatego teraz odpowiada za to Kościół. Dzięki temu udaje się nam zdobyć zaufanie tych ludzi. Ponieważ ►



jeżeli ktoś daje coś od siebie za darmo, uczy dzieci, leczy je, to bardzo dużo na tym zyskuje. Kościół staje się miejscem pełnym miłości, gdzie głoszenie Ewangelii to nie tylko sucha teoria. A to przekłada się na czyny. Dzięki temu budujemy studnie, przychodnie.

Czy bycie polskim białym księdzem katolickim w Czadzie to przywilej, czy udręka? Jaki jest stosunek lokalnej ludności do misjonarzy? Czy pamiętasz konkretne sytuacje z tym związane?

Niewątpliwie bycie misjonarzem to przywilej, dlatego że nie każdy może nim być i nie każdy ma takie możliwości. I tu nie chodzi o egoizm z mojej strony, ale wielu by chciało wyjechać do Czadu, lecz często zdrowie nie pozwala czy przełożeni nie zgadzają się na wyjazd. Dlatego jest to przywilej i zaszczyt. Jestem dumny z tego, że mogę tam być i posługiwać,

Niewątpliwie bycie misjonarzem to przywilej, dlatego że nie każdy może nim być i nie każdy ma takie możliwości. Dlatego jest to przywilej i zaszczyt. Jestem dumny z tego, że mogę tam być i posługiwać.

chociaż teraz spoglądam na to ze smutkiem. Niestety, wygląda na to, że moje pokolenie jest ostatnim pokoleniem białych misjonarzy. Obserwuję, jak nowi wyjeżdżają, nawet jeżeli przyjechali długo po mnie. To ostatnie pokolenie z Europy.

A czemu niestety?

Bo myślę, że jako biały można wiele wnieść w życie tych ludzi. W Europie chrześcijaństwo jest zakorzenione, więc do Afryki przyjeżdża się z bagażem doświadczeń. Czadyjscy księża, oczywiście nic im nie ujmuję, nie mają takiego wzorca jak my, biali. Naszą rolą tam jest dać dobry przykład. Miejscowi ludzie bardzo to sobie cenią, bo





dla nich biały człowiek to jest kler albo doktor. Mam tu na myśli ludzi z wioski, którzy nie potrafią pisać, czytać. Biały człowiek jest tam po to, aby im pomagać, nie z wyrachowania, a po prostu ze szczerości serca. To jest ktoś, kto się dla nich poświęca i daje się im cały. To sprawia wielką satysfakcję i radość, bo człowiek czuje się potrzebny. Nigdy przez te 16 lat nie doświadczyłem niczego negatywnego. Nikt mnie nie obraził, nie wyśmiał ani nie pytał, po co tu jestem. Wręcz przeciwnie, ci ludzie przeżywali każdy mój wyjazd na wakacje i pytali wiele razy, czy wrócę. To jest bardzo miłe.

A czemu nie ma nowych białych misjonarzy? Bo Europa nie jest w stanie się więcej dzielić czy Afryka uważa siebie za dojrzałą i nie chce ich przyjmować?

> Tam jest tak, że jeśli pomoc z zewnątrz nie przyjdzie, to po prostu tych projektów się nie zrealizuje. Tam niestety nie ma alternatywy.

Myślę, że po prostu brakuje powołań w Europie, widać to też w Polsce. Ilu ludzi jest w seminariach czy ilu było święconych. Z jednej strony jest to po prostu brak kandydatów. Niektóre parafie nie mają wystarczająco dużo księży, żeby je wszystkie obstawić. Dlatego trzeba je łączyć. Tak jest na przykład w mojej diecezji w Bydgoszczy. Z drugiej strony natomiast księża sami nie chcą wyjeżdżać. Myślę, że gdyby młody ksiądz poszedł do swojego przełożonego, dostałby zgodę. Afryka jest trudnym terenem i wydaje mi się, że teraz dla misjonarzy bardziej atrakcyjna jest Ameryka Południowa. Mniej chorób, łagodniejszy klimat i lepsze warunki. Widzę, że misjonarze czy siostry zakonne chętniej wybierają ten kierunek.

Czyli uważasz, że za szybko to afrykańskie „dziecko" kościelne zostało opuszczone przez rodziców, że lepiej, gdyby przebywali tam jeszcze biali? ▸



Moim zdaniem tak. Należy tu zaznaczyć, że mówię o Czadzie, nie o Afryce ogólnie. Bo Kamerun, Nigeria to inny obraz Kościoła. Ale jeśli chodzi o Czad, to myślę, że tak. Ale to niestety jest przesądzone, bo nie ma już misjonarzy. Jakby było nawet dwóch czy trzech, byłoby to wielkim dobrodziejstwem. Widać, że jesteśmy potrzebni, bo lokalni biskupi i księża cenią sobie naszą obecność. Parafianie, którzy mają białego człowieka, czują się dowartościowani tym, że on u nich jest. A jak przychodzi miejscowy kapłan, to mówią, że to nie jest to, co wcześniej. Wiedzą, że tam, gdzie jest misjonarz, jest też trochę inne życie. Wtedy jest pomoc z zewnątrz, można ulepszać budynki, zdobywać lekarstwa, budować studnie. A jak jest tylko miejscowy ksiądz, to już nie ma wielu kontaktów.

Na koniec proszę o kilka słów do naszych Darczyńców.

Chciałbym serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy wspierają nasze misje w jakikolwiek sposób (budowa studni, szkoły lub czegoś innego). To jest coś, co trudno wyrazić słowami. Dopiero gdy widzi się te dzieła, które powstają w samym środku Afryki, to człowiek może dostrzec tę pomoc. Te dzieła powstają dzięki pomocy z Polski, widać radość ludzi, którzy tam są i korzystają z tego, co my wszyscy razem robimy. Szczególnie mówię to w kontekście budowy studni, szkół czy bibliotek. Tam jest tak, że jeśli pomoc z zewnątrz nie przyjdzie, to po prostu tych projektów się nie zrealizuje. Tam niestety nie ma alternatywy. Jeśli nie ma pomocy z zewnątrz, to szkoła nie powstanie, bo nie ma tylu środków finansowych. Ludzie żyją w wielkiej biedzie. To, co my zarabiamy dziennie, dla niektórych stanowi dwutygodniową lub nawet miesięczną wypłatę. Średnia pensja nauczyciela w czadyjskiej wiosce to 50 lub 70 euro. Wyobraźmy sobie to, przenosząc to na polski grunt. Dla kogoś z Polski to nie są wielkie pieniądze, ale dla nich to miesięczna pensja. Naszym Darczyńcom chciałbym powiedzieć, że to, co czynimy, co Wy czynicie, trudno opisać słowami, żeby Wam za to podziękować. Miejcie świadomość, że to są wielkie dzieła. Dopiero kiedy widzi się na miejscu radość tych ludzi, to człowiek stwierdza, że warto. ▪

Ks. Jakub Szałek jest misjonarzem diecezji bydgoskiej. Od 2005 roku, kiedy rozpoczął swoją posługę w Czadzie, wybudował ponad 50 studni. Zainicjował także wiele dzieł socjalnych, które wpłynęły na poprawę jakości życia jego parafian. Obecnie pracuje na obrzeżach Lai. Został powołany do stworzenia nowej placówki misyjnej. Poza tym pełni funkcję wikariusza biskupiego (polski odpowiednik biskupa pomocniczego, ale bez sakry biskupiej), co obliguje go do uczestnictwa w obradach Konferencji Episkopatu Czadu (pełny skład czadyjskiej konferencji to sześciu biskupów diecezjalnych i ich pomocnicy, czyli w sumie 12 osób). Na co dzień jest proboszczem nowej parafii, której struktury dopiero powstają.

Kupujesz wodę, budujesz studnie

woda z misją

www.wodazmisja.pl

Czy wiesz, że

budowę studni można także wesprzeć, kupując wodę z dostawą do domu, hotelu lub firmy?

Przy zakupie

wody mineralnej ze strony **www.wodazmisja.pl** marki Staropolanka, Kudowianka i Wielka Pieniawa **10%** wartości zamówienia producent przekazuje na budowę studni w pustynnym Czadzie!

Dodatkowe korzyści

Płacisz za butelkę taniej niż w sklepie, nie musisz dźwigać zgrzewek z wodą, a woda jest świeżo rozlewana do Twojego zamówienia!







Tej radości nie zastąpi najnowszy mercedes

Daniel CIESZYŃSKI

Historia Daniela i jego przygody z misjami sercanów zaczyna się od studni w Czadzie. Daniel ufundował jedną ze studni, ale postawił warunek – chce widzieć, jak ona powstaje. Kiedy na własne oczy zobaczył codzienność Czadyjczyków, zapragnął pomóc jeszcze bardziej. Uruchomił zbiórkę na sprzęt medyczny do dwóch przychodni – w Colon i Baikoro. Jego ostatnim projektem jest budowa szkoły z internatem dla niewidomych dzieci w Mundu. Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów zbiera fundusze na jej wyposażenie.

Podczas mojego pierwszego pobytu w Czadzie doświadczyłem, jak dużo potrzeb ma ten kraj. Dzieci uczą się w prymitywnych warunkach, a wiele szkół to szałasy w opłakanym stanie czy zawalające się budynki bez dostępu do toalety. Naprawdę pragnę to zmienić, dlatego razem z siostrą Ewą Milanowską ze Zgromadzenia Franciszkanek od Cierpiących, która od ośmiu lat jest na misjach w Czadzie, rozważyłem przyjęcie kolejnego projektu dotyczącego budowy szkoły z internatem dla niewidomych dzieci.

Dotychczasową szkołę w Mundu zamieszkuje 30 niewidomych dzieci, którymi zajmuje się niedowidzący dyrektor. Trudno to nazwać budynkiem. To stary, zawalający się obiekt, bardziej magazyn, w którym mieści się internat dla porzuconych dzieci. Niestety niewidome dziecko w Czadzie jest utrapieniem dla rodziny, dlatego mieszka w bursie, odizolowane od rodziców. Te dzieci uczą się, mieszkają i jedzą w jednym pomieszczeniu bez dostępu do sanitariatów. Co ważne, do września 2020 roku wszystkie dzieci niewidome spały na betonie. Nie znały takich dobrodziejstw jak łóżko.

Ze względu na biedę panującą w Czadzie nie wszystkie dzieci mogą się uczyć. Wiele z nich nie potrafi czytać ani pisać, a przecież każde dziecko powinno mieć dostęp do nauki. Nowa katolicka szkoła będzie jedyną tego typu placówką dla niewidomych dzieci w Czadzie. Tak jak Błogosławiona Matka Elżbieta Róża Czacka opiekowała się niewidomymi, tak i ja, idąc jej śladami, pragnę zbudować szkołę z internatem dla niewidomych dzieci w Czadzie. Dlatego chciałbym Państwa zaprosić do współtworzenia tej szkoły, która będzie dla nich jedyną szansą na godne życie. Koszt całego projektu to 190 tysięcy złotych. Podzieliłem ten projekt na dwa etapy. Pierwszy etap to 100 tysięcy złotych na internat, bo dla mnie to jest priorytet, żeby niewidome dzieci w tym swoim cierpieniu mogły godnie żyć. Będą to cztery 20-metrowe pomieszczenia. Drugi etap projektu to 90 tysięcy złotych. Za tę kwotę wybudujemy korytarz z werandą, klasę i magazynek dla dyrektora.

Podczas mojego pobytu w Czadzie, pod koniec lutego tego roku, odbyło się uroczyste poświęcenie placu budowy i pierwszego budynku. Ksiądz Olivier zwrócił się wtedy do niewidomych dzieci i powiedział: „Naprawdę Bóg was kocha, skoro działa poprzez tego człowieka i Darczyńców z dalekiego kraju, jakim jest Polska". To były wzruszające słowa, ale kiedy zobaczyłem niedowidzącego dyrektora szkoły, który zestresowany czytał podziękowania napisane brajlem, nie umiałem powstrzymać łez. Dwukrotnie dziękował i składał na moje ręce tysięczne podziękowania Darczyńcom, którzy przyczynili się do powstania tego budynku, oraz powierzył moje misje i bezpieczny powrót opiece Matki Bożej. Łzy radości cisnęły mi się do oczu, kiedy dziękowałem mu za to, co robi dla tych dzieci. Nałożyłem mu medal, uścisnąłem dłoń i przytuliłem tak mocno, jak najbliższą osobę w moim życiu.

Oprócz tego, tak jak planowałem, udało mi się osobiście uczestniczyć w budowie i położyć cegłę w imieniu każdego z Darczyńców. Już pierwszego dnia dzieci zaśpiewały piosenkę specjalnie przygotowaną na mój przyjazd. To takie piękne, przebyć 8 tysięcy kilometrów, aby zobaczyć ich radość i uśmiech na twarzy. To wielka radość ulżyć w cierpieniu drugiemu człowiekowi, a zwłaszcza dziecku. I to jest odpowiedź na pytanie: „Dlaczego to robię?". Daje mi to radość serca, której nic nie zastąpi, żaden nowy dom czy najnowszy mercedes. To jest radość, której nie da się opisać, ale przede wszystkim, jeśli w tym wszystkim jest błogosławieństwo Boże, to Pan Bóg otwiera różne ścieżki, przeciera szlaki, aby projekt był zrealizowany. ▪





Jak powstaje studnia w Tanzanii?

Kamila ŁAZICKA

Dorota POŚPIECH

Mieszkańcy niezurbanizowanej części Tanzanii codziennie zmagają się z problemem braku wody. Picie brudnej wody powoduje biegunki, szczególnie niebezpieczne dla dzieci do piątego roku życia. W całej Afryce z tego powodu umiera nawet 1400 dzieci dziennie. Rozwiązaniem są studnie głębinowe, ale w Tanzanii ich budowa jest bardzo kosztowna.





Codzienność mieszkańców rolniczych regionów kraju wyznacza naturalny rytm związany z porą suchą i deszczową. Ze względu na wysokie temperatury, które w porze suchej sięgają nawet 40°C, Tanzańczycy zaczynają dzień bardzo wcześnie, aby uniknąć nieznośnego upału. Kobiety wstają nawet o 3:00 rano, żeby przynieść wodę ze studni, ugotować coś do jedzenia i wyprawić dzieci do szkoły. Mężczyźni rozpoczynają pracę w polu jeszcze przed wschodem słońca, o 4:00 rano. Do wszystkich tych czynności niezbędna jest woda. Jak podkreślają misjonarze: „Wysuszona ziemia nie daje plonów. Żeby coś urosło, trzeba ją obficie podlewać. Zdarza się, że mieszkańcy tego nie robią, bo wody brakuje nawet dla nich. Nie mają też jej wystarczającej ilości, żeby napoić bydło. W ten sposób spirala głodu i nędzy się nakręca".

Największy problem z wodą jest poza miastami. Biorąc pod uwagę fakt, że Tanzania należy do słabo zurbanizowanych krajów, można powiedzieć, iż problem dotyczy ogromnej liczby mieszkańców. Według danych cztery na dziesięć gospodarstw domowych oraz jedna trzecia szkół nie ma dostępu do czystej wody pitnej. Brak wody powoduje, że ludność korzysta ze zbiorników wodnych i tzw. lokalnych studni, w których woda nie jest odpowiednio zabezpieczona przed bakteriami. To sprawia, że mieszkańcy używają na co dzień wody niezdatnej do spożycia. Nie mają jednak innego wyjścia. Rozwiązaniem jest budowa studni głębinowych. Ich koszt jednak znacznie przekracza możliwości mieszkańców.

Ciężki sprzęt i wiedza

W Tanzanii proces wydobycia wody spod ziemi jest związany z dużymi kosztami i odpowiednią wiedzą. Mają na to wpływ warunki geologiczno-inżynierskie. O ile na ►

wschodzie, blisko oceanu, występują podłoża mniej problematyczne (np. koralowce), to na większości terenów kraju podłoże jest bardzo twarde, zbudowane ze skał powulkanicznych. Woda przebija się tam przez wybrane frakcje, co wynika z układu popękanych skał. Jedynym sposobem na budowę studni w takim miejscu jest użycie specjalistycznych wiertni.

Pierwszym krokiem do budowy studni jest określenie prawdopodobieństwa występowania wody przez zatrudnioną w tym celu profesjonalną firmę. Za pomocą specjalistycznego sprzętu, pokazującego strukturę pod ziemią oraz wykrywającego wilgotność, ustala się kilka potencjalnych miejsc do wykopania studni. Drugi krok to wynajem maszyny do wiercenia – są to wiertnie umieszczone na dużym samochodzie ciężarowym. W przypadku bardzo twardych skał potrzebna jest solidna i ciężka wiertnia. Zdarza się, że wiertło, warte kilka tysięcy dolarów, utknie podczas wiercenia. Ryzyko jest tym większe, że firmie płaci się nie za efekt (czyli dotarcie do strumienia wody), ale za wykopany metr.



Zaufanie Bogu

„Budowanie studni wymaga ogromnego zaufania Bogu i wiary w Jego obietnice. To ogromne ryzyko, jak gra na giełdzie – możesz mieć wszystko albo nic. Pamiętam taką sytuację podczas wiercenia. Docieramy do 170 metrów pod ziemią – nie ma nic. Na głębokości 180 metrów – kurz. Nie mam już kasy, a wody jak nie było, tak nie ma. Kopiący mówi mi, że mamy rury tylko do 200 metrów i dalej nie możemy kopać. Mówię zrezygnowany – w takim razie kopiemy do 200 metrów i koniec. Na 183 metrze wyskoczył ogromny strumień wody, taki że nie byli w stanie kopać (jak rzeka pod ziemią, 30 tysięcy litrów na godzinę). Uczucie nie do opisania" – relacjonuje ojciec Adam Cytrynowski, który nadzoruje budowy studni w Tanzanii z funduszy przekazanych przez Sekretariat Misji Zagranicznych.

Po wykopaniu otworu pod studnię w głąb ziemi wkłada się metalowe rury o długości odpowiedniej do głębokości, na jakiej występuje woda. Następnie przeprowadzane są badania testowe pompy, która pomaga w przepływie wody. Pompę dobiera się już po wykopaniu studni. Związane jest to z koniecznością ustalenia poziomu startowego wody (tzw. *starting water level*) oraz wydajności studni. Wypompowana woda często gromadzona jest w tankach, które służą do jej przechowywania. Dzięki temu używanie wody nie jest uzależnione od szybkości pobierania jej przez pompę.

Mimo że cały proces budowy studni w Tanzanii jest skomplikowany, czasochłonny i obarczony ryzykiem, nie zmienia to faktu, że jest wyjątkowo potrzebny. W Tanzanii w następstwie picia brudnej wody nawet 12% dzieci choruje na biegunki, które są szczególnie niebezpieczne dla dzieci do piątego roku życia. W całej Afryce z powodu chorób objawiających się biegunką umiera nawet 1400 dzieci dziennie. Każda kropla czystej wody jest więc na wagę złota, ponieważ na szali jest ludzkie życie i zdrowie. ▪

zbieramto w szkole



ZBIERAJ



POMAGAJ

ODBIERAJ NAGRODY

To projekt dla szkół, przedszkoli i innych placówek edukacyjnych.
Szkoły zbierają rzeczy, które mogą być przeznaczone do recyklingu, takie jak

telefony komórkowe ▪ **baterie** ▪ **laptopy** ▪ **zegarki tarczowe**.

Środki uzyskane ze zbiórek wspierają fundusz budowy studni w Afryce oraz utrzymanie domów dziecka w Boliwii i na Filipinach. Za zebrane kilogramy surowców szkoły dostają punkty, za które mogą odebrać nagrody.

www.zbieramtowszkole.pl
kontakt@zbieramtowszkole.pl
tel. 507 481 511

DOŁĄCZ DO NAS!



Budowa studni w Tanzanii – zakup sprzętu do wiercenia

„Miałem spotkanie z katechistami, podczas którego zawsze je się wspólny posiłek. Było ugali, czyli papka kukurydziana. W Tanzanii, szczególnie na wioskach, je się ze wspólnego garnka, rękoma. **Jeden z katechistów zaczął jeść i kiedy wyciągnął palce z naczynia, a ja chciałem się jako kolejny poczęstować, to zobaczyłem tam ciemne ślady.** Przerwałem więc nasz posiłek i poprosiłem tego człowieka, żeby pokazał mi ręce. **On miał je po prostu brudne…** Wtedy powiedziałem do wszystkich: «Jeśli tak będziecie o siebie dbali, to wasze rodziny będą ciągle chore, dzieci będą chore – nigdy ich nie wyleczycie!». Aż głupio mi teraz o tym mówić, ale zrobiłem im lekcję mycia rąk. To był dla mnie taki zarówno praktyczny, jak i duchowy przełom. Zobaczyłem, jak bardzo potrzebna jest budowa studni głębinowych. Oczywiście



w każdej wiosce są prowizoryczne studzienki, to znaczy mieszkańcy kopią takie zagłębienia, gdzie zbiera się woda. To nie jest woda do picia, ale jej używają, bo nie mają innego źródła... 75% wszystkich chorób w Tanzanii jest spowodowanych piciem brudnej wody. Wiem, że możemy tym ludziom pomóc, że ta tragiczna sytuacja może się poprawić. **Głoszenie Słowa Bożego jest piękną rzeczą, ale jeśli mówisz, że Pan Bóg kocha i pomaga, a możesz to jeszcze potwierdzić czynem, na przykład poprzez budowę studni, i tak namacalnie pokazać miłość Boga, to właśnie jest wypełnienie tego głoszonego Słowa**".

o. Adam Cytrynowski (Zgromadzenie Misjonarzy Afryki), Dar es Salaam, Tanzania

Darczyńcy naszego Sekretariatu Misji Zagranicznych od dwóch lat wspierają projekt budowy studni w Tanzanii. W ciągu tych kilkunastu miesięcy do użytku oddano dziewięć studni. Ich wiercenie jest drogie, ponieważ wody trzeba szukać głęboko i przebijać się przez skały, a każdy metr odwiertu kosztuje 95 dolarów amerykańskich. Jeśli mamy szczęście i wodę uda się znaleźć na głębokości 100 metrów, to wtedy koszt takiej budowy zamyka się w kwocie około 40 tysięcy złotych. A jeśli mamy pecha i woda wytryśnie dopiero na 180. metrze odwiertu, to kwota za jedną studnię urasta do astronomicznych 75 tysięcy złotych. Po licznych rozmowach z ojcem Adamem oraz tanzańskimi ekspertami od wiercenia studni podjęliśmy decyzję, że **chcemy kupić cały sprzęt potrzebny do wiercenia studni, aby budować je niezależnie od zewnętrznych firm**. Potrzeba: dwóch ciężarówek, wiertni, kompresora, zestawu wierteł. Wszystkie te maszyny zostały wycenione na ponad milion złotych (255 tysięcy dolarów). Przekazanie 100 tysięcy dolarów na ten cel zadeklarowały dwie niemieckie diecezje. Warunkiem otrzymania tych pieniędzy jest zebranie przez nas przynajmniej takiej samej kwoty. Pomoc w zakupie wiertni deklaruje również Zgromadzenie Misjonarzy Afryki (ojców białych). Dzięki posiadaniu własnych maszyn koszt budowy jednej studni spadnie na pewno o 50%. Będziemy mogli również dać pracę kilku miejscowym mężczyznom.

Wierzymy, że ten największy w historii działania naszego biura misyjnego projekt pomocowy zostanie zrealizowany! Wszystkich Darczyńców tego projektu zawierzamy Bożemu Sercu, prosząc Pana Jezusa o potrzebne dary i łaski dla Was.

ks. Piotr Chmielecki SCJ, zastępca sekretarza Misji Zagranicznych Księży Sercanów

10 rzeczy, których nie wiesz



1

Na kontynencie afrykańskim, szczególnie w rejonach pustynnych, czysta woda to ciągle palący problem. Brak wody dotyka szczególnie terenów wiejskich, do których nie docierają rurociągi.



2

Kiedy nie ma dostępu do źródła wody, mieszkańcy afrykańskich krajów kopią prowizoryczne studnie. To zbiorniki, w których zbiera się woda nienadająca się do picia. Ludzie z niej korzystają, bo nie mają innego wyjścia.



3

W większości krajów w Afryce za przyniesienie wody do domu odpowiadają kobiety i dzieci. Żeby dotrzeć do najbliższej studni, często pokonują kilka kilometrów. Zbiorniki lub miski – najpierw puste, a potem wypełnione wodą – noszą na głowach.



4

Budowa jednej studni w Czadzie to dostęp do źródła czystej wody dla około 300, a w Tanzanii nawet dla 1000 osób. Dla każdej z nich oznacza to nie tylko podniesienie komfortu życia, ale także mniejsze zagrożenie chorobami spowodowanymi brudną wodą.



5

W Tanzanii prawie w całym kraju występuje twarde podłoże, zbudowane ze skał wulkanicznych. Woda przebija się tam tylko przez wybrane frakcje. Dlatego budowa studni wymaga ogromnej wiedzy i specjalistycznego sprzętu.

O studniach w Afryce

6



Koszt budowy studni w Tanzanii nie jest stały i nie można go określić przed rozpoczęciem prac. Wszystko zależy od tego, na jakiej głębokości pojawi się woda (zazwyczaj jest to 150–200 metrów). Każdy metr odwiertu kosztuje 95 dolarów.

7



W Czadzie do budowy studni wystarczy specjalne wiertło, które jest obsługiwane siłą ludzkich rąk. Kilku robotników wkręca w ziemię rurę, do której wtłacza się wodę z przygotowanego wcześniej zbiornika. Pompowana za pomocą mechanicznej pompy woda wypłukuje glinę.

8



Na południu Czadu, gdzie pracuje większość naszych misjonarzy budujących studnie, pora deszczowa trwa od maja do października. W tym czasie warunki pogodowe uniemożliwiają wiercenie nowych studni.

9



W wioskach, w których powstają studnie, mieszkańców nie stać na to, żeby sfinansować koszt odwiertu. Zbierają jednak pieniądze, które pozwalają na naprawy (np. wymianę łańcucha), a wyznaczone osoby dbają o utrzymanie studni w dobrym stanie.

10



Misjonarze traktują budowę studni jako dopełnienie swojej misji ewangelizacyjnej. Łatwiej jest mówić o dobroci Boga i miłości do bliźniego, kiedy można pokazać ich realne formy, takie jak dzieła socjalne.



Dziennik z podróży na Ukrainę

ks. Piotr CHMIELECKI SCJ

Przed wyjazdem

Ciągnący się od kilkudziesięciu dni zbrojny atak Rosji na Ukrainę budził we mnie pytanie: „Jak mogę (jeszcze) pomóc?”. Jeszcze, bo formalnie miałem alibi. Zaangażowałem się w przyjęcie dwóch ukraińskich rodzin do naszego domu zakonnego w Olsztynie. One jednak dość szybko ogarnęły się z codziennymi sprawami i nie wymagały szczególnej opieki. A we mnie był niedosyt i narastające pytanie: „Co dalej?”. Dość poważnie zacząłem rozważać spędzenie Wielkanocy na dużym parkingu przy ekspresówce S17 (MOP Markuszów) nieopodal Lublina. Tam miejscowi wolontariusze od początku wojny udzielają pomocy tysiącom Ukraińców, którzy jadą od granicy. Moje rozterki ostatecznie rozstrzygnął… Duch Święty – mam co do tego głębokie przekonanie.

Kilka dni po wybuchu wojny zadzwoniła do mnie pani Barbara, znajoma Polka mieszkająca w Austrii (poznałem ją, kiedy przywiozła syna na organizowane przez nas

kolonie „Wakacje z misjami i językami"). Szukała pewnego miejsca, gdzie mogłaby przekazać pomoc humanitarną zorganizowaną przez austriacką Polonię, i pomyślała o sercańskich misjonarzach na Ukrainie. Skontaktowałem ją z ks. Janem Podobińskim SCJ, proboszczem z Pierszotrawieńska, i pomogłem dopełnić kilku formalności. W czwartek przed Wielkim Tygodniem pani Barbara zadzwoniła do mnie z informacją, że na Ukrainę jedzie kolejny transport z pomocą humanitarną, ale potrzebują miejsca, żeby zebrane rzeczy zmagazynować w Polsce, najlepiej gdzieś blisko granicy. Od razu pomyślałem o sercańskim domu w Pliszczynie k. Lublina. Ostatecznie okazało się, że magazyn nie będzie potrzebny, bo pomoc zostanie przeładowana bezpośrednio z busa austriackiego do ukraińskiego.

Zrozumiałem, że w taki sposób Bóg odpowiada mi na pytanie, które nosiłem w sercu. Że mam po prostu wsiąść do tego transportu i spędzić Wielkanoc z Ukraińcami na Ukrainie. Był tylko jeden mały problem. Te wszystkie klocki poukładały się w czwartek wieczorem, a jeśli chciałem jechać, to w sobotę po południu musiałem stawić się w miejscu przeładunku darów.



Dzień 1 (sobota 9 kwietnia 2022 roku)

Decyzję o wyjeździe podjąłem dość szybko. Pozostały jeszcze do załatwienia formalności – zgromadzenie zakonne ma swoje reguły dotyczące wyjazdów zagranicznych. Wszystkie formalne zgody otrzymałem. Nie było jednak wiele czasu na ogłaszanie światu, że „jadę na wojnę". Dałem znać tylko rodzicom i współpracownikom z Sekretariatu Misji.

Umówiliśmy się, że spotykamy się – Austriacy, Ukraińcy i ja – w Pliszczynie około godziny 14:00. I ku memu zdziwieniu plan udało się zrealizować. Wszystko potoczyło się bardzo sprawnie: przeładunek darów, wspólny obiad, kawa i w drogę. Na Ukrainę wyruszyliśmy we trzech: pan Walentyn, na którego wszyscy mówili Walik (kierowca), ks. Andrzej Oleinic SCJ (wikariusz z Irpienia k. Kijowa) i ja. Przekraczanie granicy w Dorohusku trochę nas zaskoczyło. Ksiądz Andrzej pokonywał już tę trasę kilkukrotnie w ciągu miesiąca i zapowiadał, że nie będzie problemów. Jednak liczba aut stojących w kolejce do odprawy spowodowała, że czekaliśmy ponad trzy godziny, aż ostatni z pograniczników pomachał nam w geście zgody na przejazd. Było już ciemno, kiedy stanęliśmy na parkingu tuż za granicą, aby zjeść kanapki. Po drodze musieliśmy regularnie zatrzymywać się na tak zwanych *blokpostach*, gdzie policja oraz obrona terytorialna kontrolowała nasze dokumenty i sprawdzała zawartość bagażnika. Szczególnie zapamiętałem jeden z postojów, kiedy przebudziłem się w środku nocy, a wokół naszego samochodu stało około dziesięciu wojskowych z długą bronią w ręku. Senność mnie natychmiast opuściła… To spotkanie zakończyło się jednak bardzo sympatycznie, bo zostaliśmy poproszeni przez kontrolerów o wodę i cukier. Zostawiliśmy im wodę, ale w sprawie cukru ks. Andrzej „poprosił o litość" – nie dlatego, że cukru nie było, ale dlatego, że musielibyśmy poświęcić dużo czasu, żeby go odszukać (rzeczywiście przy rozładunku cukier znaleźliśmy na samym końcu).

Podczas nocnego przejazdu przez Łuck usłyszeliśmy syreny. Tam, na miejscu, doświadcza się tego zupełnie inaczej niż przed telewizorem. Chociaż wiedziałem, że Ukraińcy włączają syreny prewencyjnie, to i tak różne myśli zaczęły mi krążyć po głowie… Nie było tak, że przyśpieszyło mi bicie serca czy zaczęły drżeć ręce. Ale ►



poczułem wtedy, że naprawdę jestem na wojnie. Że choć nie jedziemy w strefę walk, to rosyjska rakieta balistyczna może nas dosięgnąć w dowolnym miejscu na Ukrainie.

Pomimo tego, że na ulicach Łucka nie było absolutnie nikogo, to sygnalizacja świetlna działała normalnie. Kilka czerwonych świateł zignorowaliśmy, żeby jak najszybciej wyjechać z miasta. Po całonocnej jeździe o 6:30 dotarliśmy do celu, czyli parafii katolickiej w Pierszotrawieńsku. Rozładowaliśmy jeszcze busa, a kiedy kładłem się spać, było już widno. W drodze na Ukrainę przypomniał mi się jeden szczegół – nie spakowałem pasty do zębów. Stwierdziłem jednak, że w takich okolicznościach nie jest to produkt pierwszej potrzeby i nie będę przerywał naszej podróży, żeby próbować go kupić. Kiedy wszedłem do pokoju gościnnego, na stole leżały tylko dwie rzeczy… szczoteczka i pasta do zębów. Uśmiechnąłem się do siebie – to był znak od Boga, niesamowicie banalny, ale dla mnie czytelny! Musiałem „szybko spać", bo o 10:00 zaczynała się Msza Święta z procesją. Była to Niedziela Palmowa.

Dzień 2 (niedziela 10 kwietnia 2022 roku)

Do Pierszotrawieńska wróciłem dokładnie po 14 latach. Odbywałem tam praktykę duszpasterską na piątym roku studiów seminaryjnych. Na zewnątrz – w kościele i jego obejściu – niewiele się zmieniło. Trochę jakby „czas się zatrzymał". Na pewno przybyło rzeźb świętych, do których miejscowy proboszcz ma duże nabożeństwo. Liturgia Niedzieli Palmowej rozpoczęła się przed kościołem od odczytania Ewangelii i poświęcenia palm. Żadnych zasadniczych różnic w porównaniu z tym, jak modlimy się w Polsce, nie zauważyłem. Zwróciłem uwagę na duży udział świeckich (nie ministrantów czy lektorów) w liturgii: czytali czytania i modlitwę wiernych, śpiewali psalm. W tym dniu imieniny obchodził drugi duszpasterz z Pierszotrawieńska, ks. Andrzej Sobieraj SCJ. Na koniec Mszy standardowo: życzenia, zapewnienie o modlitwie, czekoladki. Natomiast zamiast odśpiewania „sto lat" (lub jego pobożnej wersji) podarunkiem muzycznym był hymn Ukrainy! Jeszcze nigdy w kościele nie śpiewałem hymnu narodowego, a w tych szczególnych

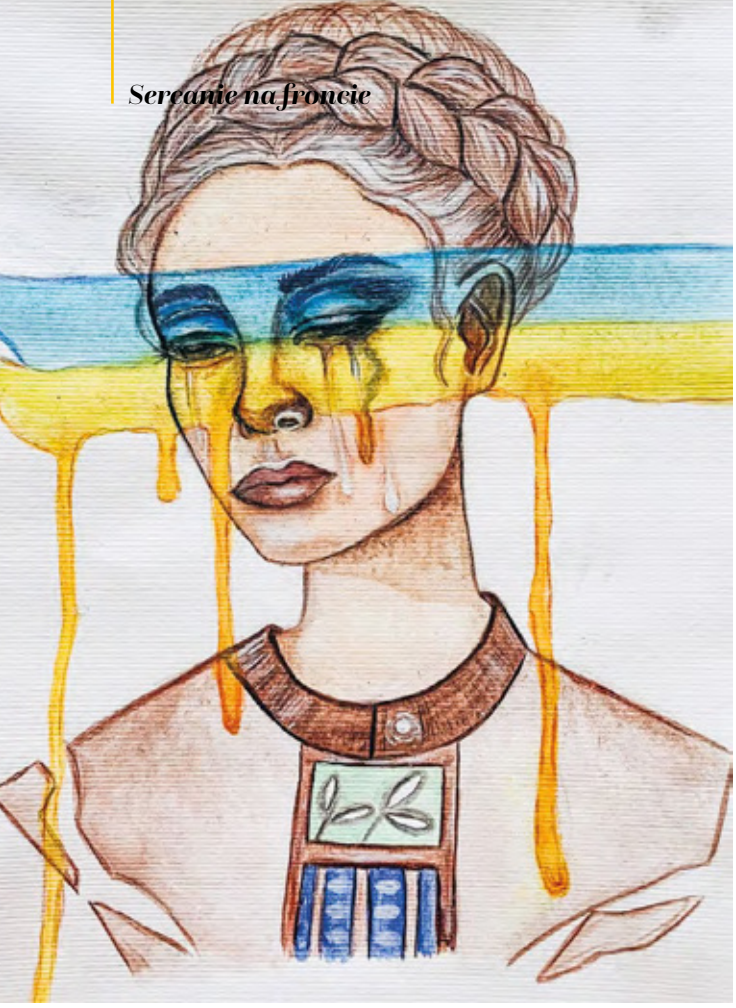
okolicznościach wywarło to na mnie ogromne wrażenie. Przyglądałem się zebranym ludziom i zauważyłem, że spora grupa nie śpiewała. Zapytałem księdza Jana, co to miało znaczyć. Odpowiedział, że nie śpiewali, bo… nie znają hymnu Ukrainy. Nie uczyli się go w szkole, nie był on też w życiu państwowym dotychczas bardzo obecny. Najbardziej zaangażowaną w śpiew grupą były dzieci. „Po amerykańsku" trzymały prawą rękę na sercu i głośno wyśpiewywały pieśń zwycięstwa.

Dzień 3 (poniedziałek 11 kwietnia 2022 roku)

Tematem dnia było dzisiaj przetransportowanie pomocy humanitarnej z parafialnego garażu do Centrum Wolontariatu w Pierszotrawieńsku. Punkt recepcyjny w siedzibie administracji samorządowej powstał tydzień po wybuchu wojny. Uchodźcy wewnętrzni, którzy przychodzą tam po pomoc, załatwiają również sprawy urzędowe, na przykład starają się odnowić stracone dokumenty. Na około 2000 stałych mieszkańców wioski, zarejestrowanych było już prawie 600 przybyszów. Słowo „zarejestrowanych" jest tutaj istotne, bo wiele osób, które przyjechały do swoich rodzin, po prostu nie zgłaszało się do rejestracji. To pokazuje ogromną skalę migracji wewnętrznej! Warto też wspomnieć, że wszyscy byli zakwaterowani w domach prywatnych, a nie na przykład w szkole. Zaskoczyło mnie to, że dla migrantów miejscowi udostępniali przeważnie pustostany. Mniejszość stanowiły sytuacje współdzielenia z przybyszem domu czy mieszkania.

Wolontariuszki w punkcie recepcyjnym to grupa około dziesięciu pań, są wśród nich również uchodźczynie. Kiedy daliśmy znać, że mogą wesprzeć nas w rozładowaniu busa, to tak energicznie ruszyły do pracy, że sam za wiele nie zdołałem pomóc, tym bardziej, że chciałem też zrobić zdjęcia. Naszych darów wystarczyło na zrobienie zaledwie kilkunastu fotografii i już wszystko było przeniesione do pomieszczenia, gdzie kobiety pracują i dystrybuują pomoc. Dodam od razu, że takie transporty z parafii robiliśmy praktycznie codziennie, niejako dozując pomoc. Można powiedzieć, że parafia katolicka wręcz utrzymuje to centrum pomocowe – bez tych dostaw magazyn świeciłby pustkami. Parafialny ▸





garaż stał się magazynem pomocy humanitarnej. Dary przekazywano wszędzie tam, skąd napływały prośby, na przykład do Żytomierza.

Jedna z wolontariuszek, pani Irena, wykładowca filozofii z Kijowa, zaczęła mi objaśniać, na czym polega ich praca, jak działają. Rzuciła mi się w oczy wielka skrupulatność: każda wydana paczka jest opisana w zeszycie, beneficjent musi się podpisać i dać sfotografować przy odbiorze. Z racji tego, że w miejscowej administracji pracują tylko wójt i sekretarz, panie uczestniczą również w procesie wystawiania dokumentów. Przygotowują też paczki dla „naszych chłopców", czyli dla miejscowych mężczyzn powołanych do armii. Do nich trafiły m.in. odzież termiczna, leki i opatrunki. Z najbardziej zniszczonej odzieży wolontariuszki robią siatki maskujące. Prują też nieprzydatne ubrania z wełny, aby szyć z nich nowe stroje. Zobaczyłem ogrom zaangażowania i doświadczyłem wielkiej wdzięczności za to, co Polacy robią dla cierpiących Ukraińców. Panie tak zachwyciły się przekazaną pomocą, że „nie wytrzymały" i pozbierałem kilka buziaków.



Opuszczając Centrum Wolontariatu, spotkaliśmy uchodźców, m.in. pana Anatolija z Buczy, w którego dom uderzył pocisk i dosłownie przeciął budynek na pół. Zamieniliśmy też kilka zdań z rodziną z Mariupola. Oni stracili absolutnie wszystko… Na pytania odpowiadał mężczyzna, kobieta stała obok niego, miała martwe spojrzenie. Wyglądała tak, jakby wypłakała już wszystkie łzy. A ja czułem się mocno zagubiony, bo z jednej strony byłem ciekaw tych ludzi, ciekaw ich historii, a z drugiej strony wiedziałem, że każde pytanie może być niestosowne, zadawać ból. Nie zatrzymywałem ich, szli na piętro załatwiać jakieś dokumenty. Myśląc o nich i całym dramacie tej wojny, poszedłem do samochodu, po czym wróciliśmy na plebanię.

Dzień 4 (wtorek 12 kwietnia 2022 roku)

Tego dnia pierwszy raz zobaczyłem wojnę, a raczej pozostałości po niej: zbombardowane budynki mieszkalne i zniszczony szpital w Żytomierzu. Kilkaset metrów dalej jest jednostka wojskowa, rakiety miały pewnie wylądować tam… Poprosiłem księży sercanów, z którymi podróżowałem, żeby na chwilę się zatrzymali. Chciałem udokumentować ten widok. Szukając najlepszych ujęć, kręciłem się chwilę przed zniszczonymi budynkami. Nagle stanęła przede mną starsza pani. Wydaje mi się, że wyszła z jednego ze zrujnowanych domów jednorodzinnych. Ewidentnie miała do mnie pretensje. Chyba myślała, że fotografuję w jakichś „niecnych celach". Wskazałem na księży siedzących w samochodzie, którzy po ukraińsku zaczęli tłumaczyć, kim jesteśmy. Jej twarz od razu się rozpogodziła. Starsza pani powiedziała do nas: „*Moja doczka w Polszy…*",

czyli: „Moja córka jest w Polsce. Uciekła przed wojną do Łodzi". Za chwilę dołączył do rozmowy mąż tej pani i zaprosił nas na kawę, ale nie mogliśmy skorzystać z zaproszenia. Powiedzieli mi, żeby podziękować wszystkim Polakom za to, co robią dla Ukrainy. Zawsze kiedy takie słowa padały ze strony Ukraińców, to łezka w oku zaczynała mi się kręcić. Te słowa nie były na pokaz, rzucane na wiatr czy wypowiadane dla jakiegoś interesu, były po prostu szczere.

Celem naszej wizyty w Żytomierzu była Msza Krzyżma, która w diecezji kijowsko-żytomierskiej jest sprawowana dwa razy, ale żadna z nich nie odbywa się w Wielki Czwartek. Diecezja jest bardzo rozległa terytorialnie, a większość parafii ma też kościoły dojazdowe, więc księża po kilka razy sprawują ceremonie Wielkiego Tygodnia.

Podczas kazania głoszonego przez biskupa rozległ się dźwięk syreny. Przebiegła mi przez głowę myśl, że jesteśmy dobrym celem ataku: około 100 księży zgromadzonych w jednym miejscu. Wyjące syreny to dla Ukraińców codzienność. Są włączane również prewencyjnie, za każdym razem, kiedy istnieje jakiekolwiek zagrożenie z powietrza. Tak było też tym razem, no ale w głowie kotłowała mi się myśl: „Wybuchnie czy nie wybuchnie, a co, jeśli zaraz wybuchnie…". Biskup zaczął kazanie od opowieści o księdzu Tadeuszu Wołosie – sercańskim proboszczu z Irpienia, który pozostał ze swoimi parafianami podczas najcięższych walk o miasto. Miejscowi, bez względu na wyznanie, byli mu bardzo wdzięczni za to świadectwo.

Dzień 5 (środa 13 kwietnia 2022 roku)

Jak co dzień z rana pojechaliśmy przewieźć trochę darów do Centrum Wolontariatu. Przyznam się, że stało się to moim ulubionym „humanitarnym punktem dnia", bo przy okazji mogłem zobaczyć się z nowymi przyjaciółkami. Te kobiety zachwycały mnie swoim entuzjazmem i uśmiechem. Ich odpowiedzią na dramat wojny była pomoc poszkodowanym. Bez ich zaangażowania dystrybucji pomocy humanitarnej w Pierszotrawieńsku po prostu by nie było. W administracji samorządowej pracuje tylko dwóch panów: wójt i sekretarz.

Kiedy weszliśmy do magazynu, zapytałem wolontariuszki, czy im czegoś brakuje. Odpowiedziały, że pieluch dla dorosłych, pościeli, odzieży wiosennej. Nie mieliśmy już w parafialnym magazynie pampersów dla dorosłych, więc zadeklarowałem pomoc. Powiedziałem: „Kupimy!". No i trochę się wygłupiłem… Nigdzie w okolicy taki towar nie jest dostępny. Chociaż sklepy są w miarę dobrze zaopatrzone, to jednak różnych produktów brakuje. Słyszałem, że na początku wojny nie dało się kupić na przykład soli. Na stacjach benzynowych czasem nie ma paliwa, najtrudniej dostać olej napędowy.

Pojechaliśmy więc na poszukiwania potrzebnych rzeczy do innej sercańskiej parafii – Marianówki – gdzie pracuje ks. Paweł Kubik SCJ. Ksiądz Paweł otrzymał całego TIR-a pomocy z Wielkiej Brytanii. Musieliśmy trochę popracować w magazynach parafialnych, przerzucić i otworzyć dziesiątki kartonów, ale akcja zakończyła się sukcesem. Udało się znaleźć wszystko, co było potrzebne w Pierszotrawieńsku. Po zapakowaniu darów do naszego auta miałem już przed oczyma radość naszych wolontariuszek. Nie pomyliłem się. Dziewczyny wręcz na wyścigi rozpakowały samochód. Jak zwykle w takich momentach było wiele radości, żartów, uśmiechów i wdzięczności. Na zakończenie wolontariackich aktywności dostałem od 13-letniej Aleksandry, która uciekła z mamą z Kijowa, ►



przepiękne obrazy jej pędzla. Mimo młodego wieku artystka wyraziła na papierze kilka ciekawych wizji, jak na przykład postać kobiety (Matki Bożej?), która wyciąga ręce nad Ukrainą i dzięki temu (jej modlitwie?) rosyjskie samoloty zamieniają się w ptaki. Zastanawiam się teraz, gdzie te rysunki powiesić w „Domu dla Misji" w Olsztynie. Są warte tego, aby je oprawić. Chcę, aby przypominały o okrucieństwie tej wojny i miłości tych wszystkich, którzy niosą pomoc.

Dzień 6 (czwartek 14 kwietnia 2022 roku, Wielki Czwartek)

Modlitwy poranne, śniadanie i w drogę. W drogę do Irpienia k. Kijowa, o którym przez kilkanaście pierwszych dni wojny mówiło się w serwisach informacyjnych bardzo dużo. Przez kilka tygodni toczyły się ciężkie walki o miasto. Tam Rosjanie strzelali nawet do ewakuujących się cywili, zabijali ich. Borodzianka – Hostomel – Bucza – Irpień. Przez te miasta agresorzy próbowali szturmować Kijów z kierunku północnego. Od kilkunastu lat księża sercanie prowadzą parafię w Irpieniu. A od kilku lat razem z księżmi mieszkają też studenci – sercanie prowadzą tam mały akademik. Jedziemy we trzech: ja, ks. Andrzej Oleinic (sercanin, wikariusz z Irpienia) oraz Siergiej (mieszkaniec tego akademika, student piątego roku medycyny). Ci dwaj moi towarzysze uciekli z płonącego miasta, kiedy było ono szturmowane przez Rosjan i kiedy zostały odcięte dostawy prądu, wody, ogrzewania. Naszą wizytę w Irpieniu udało się niejako ubezpieczyć przez znajomość z Pierszotrawieńska. Mąż i syn pani Ireny – jednej z wolontariuszek – są policjantami w Kijowie. Oni mieli być dla nas gwarancją, że bez problemów wjedziemy do Irpienia.

Na trasie Żytomierz – Kijów zobaczyliśmy okropieństwo wojny. Strasznie wyglądały całkowicie spalone duże budynki i hale firm. To dowód na to, że w proch obróciły się także miejsca pracy. Przerażający był też widok zburzonych i strawionych ogniem domów, zerwanych wiaduktów drogowych, spalonych czołgów. Zatrzymaliśmy się przy wrakach rosyjskich czołgów. Przy jednym leżała porzucona wojskowa kurtka. Na jej widok zacząłem zastanawiać się, do kogo mogła należeć. Ile lat miał ten



żołnierz? Czy osierocił dzieci? Czy jego bliscy wiedzą, że zginął? Zmówiłem „Wieczny odpoczynek" za wszystkich, którzy tam walczyli i zginęli: i za Ukraińców, i za Rosjan.

W Kijowie dosiedli się do nas wspomniani policjanci. Wszystko szło zgodnie z planem do momentu zjazdu w stronę Irpienia, gdzie znajdował się silnie ufortyfikowany i broniony *blokpost*. Żołnierze uprzejmie, ale stanowczo powiedzieli nam, że nie wjedziemy, bo ciągle trwa godzina policyjna. Nie chcieli słuchać tłumaczeń, że ks. Andrzej jedzie do domu, że wieziemy pomoc humanitarną. Uśmiechy zniknęły nam z twarzy. Zabraliśmy się do działania: ks. Andrzej próbował dodzwonić się do mera Irpienia, policjanci zatelefonowali do swoich przełożonych, ja zacząłem się modlić – szczególnie do Maryi i Aniołów Stróżów. Chociaż żołnierze nie dawali nam żadnej nadziei na wjazd, byłem jednak spokojny. Czułem, że wydarzy się coś, co spowoduje, że nas przepuszczą. Po około 20 minutach i telefonie od kogoś ważnego z policji wojskowi pozwolili nam jechać. Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, słychać było jeszcze serię wybuchów: bum, bum, bum. Przeszło mi przez myśl, że być może kilka kilometrów od nas właśnie toczy się jakaś bitwa pancerna… Musiałem chyba wyglądać na przestraszonego, bo ksiądz Andrzej, doświadczony już w rozpoznawaniu wybuchów, powiedział do mnie: „Spokojnie, to nasi, detonują miny".



Jeszcze kilkanaście minut jazdy i dotarliśmy pod dom zakonny księży sercanów. Jechaliśmy głównie przez las (Irpień jest bardzo ładnym miasteczkiem właśnie dzięki ogromnej ilości zieleni, można je porównać do naszego Konstancina). Na miejscu zastaliśmy księdza proboszcza Tadeusza Wołosa SCJ i panią krzątającą się z mopem. Dom był dość zakurzony, widać było, że sporo czasu nikt tam nie sprzątał. W Irpieniu już od wielu dni nie było wody, prądu, gazu, zamknięto sklepy. Sytuację w domu zakonnym ratował generator prądu przekazany przez Włochów za pośrednictwem Caritasu oraz palnik, który zasilany butlą gazową służył za grzejnik. Zostaliśmy więc „na kawę". Szczęście w nieszczęściu, że nasz dom odniósł tylko lekkie obrażenia. Odłamek pocisku przebił jedno okno. Ze ściany wyciągnęliśmy jeszcze metalowy odłamek. Można powiedzieć, że to nic w porównaniu z całkowicie zniszczonymi budynkami sąsiadów. Ale gdyby ktoś był w pokoju akurat w momencie uderzenia tego odłamka, to mógłby zginąć… Jako sercanie mieliśmy dużo szczęścia, że ciężkie walki nie toczyły się w naszej dzielnicy miasta. Dom zakonny i kościół (w budowie) zostały ocalone.

Udało nam się wrócić na czas do Pierszotrawieńska na liturgię Wieczerzy Pańskiej. Tego dnia nie zasnąłem jednak spokojnie, przed północą zapukał do mojego pokoju Siergiej i zachęcił do wyjścia przed plebanię. W oddali zobaczyłem coś, co przypominało pokaz fajerwerków. Rosjanie uderzyli w skład broni. Było to na tyle daleko od nas, że nie słyszeliśmy wybuchów, ale jednocześnie na tyle blisko, że wyraźnie widzieliśmy kolejne eksplozje. Siergiej dość szybko mnie opuścił i zostałem na placu kościelnym sam. Nagle zobaczyłem jakąś postać przechodzącą obok kościoła. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Wrócić grzecznie do domu czy sprawdzić, co się dzieje? Poszedłem przed kościół, a tam stało dwóch mężczyzn z długimi, gumowymi, białymi pałkami (podobnymi do tych, które kojarzę z działań ZOMO). Kiedy zwrócili się do mnie: „A co ty tutaj robisz?", to natychmiast przypomniało mi się, że jest przecież godzina policyjna… Na szczęście wiedziałem, jak powiedzieć po ukraińsku, że jestem księdzem. Szybko ewakuowałem się na plebanię.

Dzień 7 (piątek 15 kwietnia 2022 roku, Wielki Piątek)

Pan Jezus umiera na krzyżu. Dziś było więcej modlitwy niż działania. Kiedy podczas drogi krzyżowej prowadzonej przez świecką osobę dotarliśmy do 12. stacji, lektorka nie dała rady… rozpłakała się, gdy słowa rozważania mówiły o aktualnej sytuacji Ukrainy. O bombardowanych miastach, torturowanych mężczyznach, gwałconych i mordowanych dzieciach i kobietach.

Dzień 8 (sobota 16 kwietnia 2022 roku, Wielka Sobota)

Wielka Sobota oznacza poranne poświęcenie pokarmów. Podobnie jak w Polsce, na Ukrainie też przyszły tłumy wiernych, aby „poświęcić koszyczek". A w koszyku mniej więcej to samo co u nas, czyli przede wszystkim kiełbasa i jajka. Jedyna zauważalna różnica to obowiązkowa „pascha", czyli drożdżowe ciasto, najczęściej polane lukrem. Do każdego koszyka proboszcz, ks. Jan, nakazał ministrantom dołożyć cienką świeczkę – to był jednocześnie prezent i zachęta do uczestnictwa w wieczornej liturgii Wigilii Paschalnej.

Po poświęceniu pokarmów zorganizowaliśmy dość spontaniczną akcję. Głowę zaprzątały mi dwie sprawy: dostarczyć mieszkańcom Pierszotrawieńska i uchodźcom ►



informacje o godzinach celebracji wielkanocnych w naszym kościele oraz zrobić prezenty wielkanocne przesiedleńcom. Wrzuciłem na pakę parafialnego samochodu słodycze, konserwy oraz kosmetyki i ruszyliśmy z Siergiejem do pań z Centrum Wolontariatu. Chociaż nie były uprzedzone, że chcemy zabrać je na wycieczkę do domów, gdzie mieszkają uchodźcy, to nie protestowały, a nawet stwierdziły, że takie spontaniczne działanie to dla nich chleb powszedni. Nie byliśmy w stanie w kilka godzin odwiedzić wszystkich, bo uchodźców wewnętrznych było w wiosce już ponad 600! Dziewczyny wybierały przede wszystkim rodziny z miejscowości, gdzie ówcześnie była linia frontu, albo takie, które nie mają już do czego wracać, na przykład z: Borodzianki, Charkowa, Buczy. Drogi w Pierszotrawieńsku są w większości gruntowe, a ich jakość fatalna. Dziura na dziurze! Powoli, ale jakoś do przodu… dom za domem, rodzina za rodziną. Było dużo radości, wdzięczności, czasem obdarowanym popłynęła łezka. Ja też kilka razy zagryzałem wargi, żeby się nie rozpłakać. To była dla mnie wyjątkowa Wielka Sobota, zupełnie inna niż przez wiele wcześniejszych lat. Tym razem nie było uroczystej jutrzni, mycia okien, spowiadania, czasu na kilkugodzinne adorowanie Pana Jezusa w grobie. Było zupełnie inaczej, ale pięknie!

Przed wieczorem, o 17:00, odbyła się liturgia Wigilii Paschalnej. Tak wcześnie ze względu na obowiązującą wciąż godzinę policyjną. Skończyliśmy modlitwę około 19:00 z dziwnym uczuciem, bo było jeszcze widno, a my ogłosiliśmy już zmartwychwstanie Pana Jezusa. Wojna zmienia nawet zasady liturgiczne.

Na zakończenie celebracji w kościele śpiewaliśmy hymn Ukrainy. To był poruszający kontekst: Pan Jezus zmartwychwstał, więc życzymy sobie, żeby Ukraina też zwyciężyła śmierć. Jedna z młodych kobiet (uchodźczyni), która siedziała z przodu kościoła, podczas śpiewu cały czas zanosiła się płaczem, ani na chwilę nie mogła zatrzymać potoku łez. Gdybym tylko mógł, to pozbierałbym te jej łzy… Chrystus Pan zmartwychwstał, a tu nie ma radości, a są łzy i jest rozpacz. Jezu, Ty się tym zajmij!

Dzień 9 (niedziela 17 kwietnia 2022 roku, Zmartwychwstanie)

Poranek przywitał nas deszczem. O 7:00 liturgia Niedzieli Zmartwychwstania zaczęła się od procesji rezurekcyjnej. Do kościoła przyszło dużo ludzi. Idziemy dookoła kościoła, deszcz lekko zacina, śpiewamy o zmartwychwstaniu Chrystusa, gdzieś kilkaset kilometrów na wschód trwają walki, na froncie giną ludzie. Ciężko to wszystko pogodzić, zamknąć w słowach, tłumaczyć, trudno jest głosić Dobrą Nowinę. Zostałem poproszony przez proboszcza o wygłoszenie kazania, przyszło natchnienie, żeby przywołać wiersz ks. Twardowskiego:

„(…)
Tyle Zmartwychwstań już przeszło, a serce mam byle jakie.
Tyle procesji z dzwonami, tyle już alleluja,
a moja świętość dziurawa, na ćwiartce włoska się buja…
I wiem, gdy łzę swoją trzymam, jak złoty kamyk z procy,
zrozumie mnie mały Baranek z najcichszej Wielkiej Nocy
(…)”.

Wczorajsza „charytatywno-ewangelizacyjna” akcja zaowocowała też tym, że na rezurekcję przyszły nasze



koleżanki z wolontariatu. Zaprosiliśmy je na improwizowane śniadanie wielkanocne. Byli też wójt oraz miejscowy żołnierz Roman, który dostał jednodniową przepustkę. Krótka modlitwa przed posiłkiem, większość gości robi znak krzyża lewą ręką. Nie pytam o ich wyznanie. Najważniejsze, że przyszli, że możemy spokojnie przy stole spędzić trochę czasu. Próbujemy jakoś podkreślić obecność Romana. Ale o co go zapytać? Dowiedziałem się, że jego jednostka służy w Charkowie, który wtedy był pod ciężkim ostrzałem. Pan Jezus zmartwychwstał, a on jutro wraca na front i może z niego nie wrócić… Ksiądz Twardowski miał rację, że radość wielkanocna jest trudna.

Dzień 11 (wtorek 19 kwietnia 2022 roku)

Czas odjeżdżać. Rano w kaplicy zakonnej sprawowaliśmy z księdzem Janem Eucharystię, modlił się z nami również pan Walentyn (kierowca). Jazda do granicy była dość płynna. Stanęliśmy w kolejce kilkudziesięciu samochodów czekających na wyjazd z Ukrainy i wjazd do Polski. Formalności trwały ponad dwie godziny. Ksiądz Jan stwierdził, że przez 25 lat nic się nie zmieniło. Nigdy nie wiesz, do którego okienka masz podejść ani na jakim pasie ustawić samochód. Kiedy zobaczyłem tablicę z napisem „Rzeczpospolita Polska", to poczułem i radość, i tęsknotę. Chyba jednak bardziej tęsknotę za poznanymi na Ukrainie ludźmi.

Ksiądz Jan z panem Walikiem przyjechali do Polski nie tylko po to, żeby mnie dostarczyć do domu, ale również po pomoc humanitarną. Pojechaliśmy więc na zakupy do dużego sklepu: po konserwy, pampersy, trochę słodyczy. Załadowaliśmy pełen wózek, przy kasie zapłaciłem rachunek na trzy tysiące złotych. Kiedy wrzuciliśmy zakupy na pakę, to aż mi się serce ścisnęło. Te towary ledwo pokryły podłogę! Co zrobić, żeby nie wracali na Ukrainę z pustą przestrzenią w samochodzie? Nagle przyszło mi do głowy, że znam dyrektora Caritasu w Lublinie. Zadzwoniłem do ks. Pawła z zapytaniem, czy mogą nam coś podarować. Powiedział mi: „Przyjeżdżajcie, codziennie wysyłamy wiele palet na Ukrainę, możemy się z wami podzielić". I tak kolejne natchnienie od Ducha Świętego spięło klamrą moje wielkanocne doświadczenie z pobytu na Ukrainie. ▪



100 dni wojny na Ukrainie

Anhelina FEDOROVSKA
Zaporoże – Warszawa

Z perspektywy czasu dziś szczególnie bolesna jest pamięć o tym, jak było przed podłą inwazją Rosji na Ukrainę… Jest już 3 czerwca, ale dla mnie i dla wielu Ukraińców to ciągle jeszcze 24 lutego 2022 roku. **Nigdy nie zapomnę tamtego poranka.** Był środek nocy i byliśmy pogrążeni w głębokim śnie, gdy obudził nas telefon, a w słuchawce brat mojego męża powiedział ze strachem w głosie: „Bracie, śpisz? Obudź się! Rozpoczęła się wojna!". Minęło 100 dni i te słowa pozostają tak wyraźne w mojej głowie. Zapewne do ostatniej minuty życia będę je słyszeć jak jakieś przekleństwo.

A potem była już tylko niepewność. Nie wiedzieliśmy, co robić… Po prostu nie mogliśmy w to uwierzyć! Pociski latały nad naszymi głowami. Wydawało mi się, że to tylko straszny sen, że zaraz otworzę oczy i wszystko się skończy… Tymczasem ten podszyty strachem koszmar trwał. Rozpoczęła się wojna na wielką skalę. **Zabijali nas ci, których uważaliśmy za braci.**

Pamiętam, że pierwszego dnia poprosiłam męża, żeby wyszedł na zewnątrz. Odpowiedział, że nigdzie nie pójdzie. Chciał, żebyśmy byli razem, całą rodziną. Wtedy też

powiedzieliśmy sobie, że zostaniemy w domu, cokolwiek się stanie. Sytuacja jednak stawała się coraz bardziej dramatyczna, a mąż nalegał, żebym wyjechała z dzieckiem. Nie byłam do tego przekonana. Nie chciałam błąkać się po świecie. Wierzyłam, że mam inne zadania.

Nigdy **nie myślałam o tym, do czego zdolny jest człowiek w tak ekstremalnej sytuacji**. Nagle staliśmy się jak mrówki w mrowisku, w którym każdy wiedział, że musi wykonywać ściśle określone zadania. Jeden pomagał ufortyfikować i zabezpieczać miasto; ktoś inny przygotował piwnice, żeby ludzie mogli się schronić podczas bombardowania; jeszcze inny pomagał przygotowywać ciepłe posiłki dla żołnierzy i służb mundurowych, bo były chłodne, wiosenne dni. Ja pomagałam m.in. przewozić lekarstwa dla naszego wojska i dostarczać je we wskazane miejsca. Kiedy każdy z nas uświadamiał sobie rolę i zadanie, które ma do wykonania, syreny nie wydawały się już tak głośne i przerażające.

Pamiętam pierwszy nalot. Poszliśmy do sklepu spożywczego i już mieliśmy wyjść, gdy nagle tuż nad nami przeleciała rakieta… Wszyscy staliśmy jak sparaliżowani. To było przerażające! Dzięki Bogu udało się nam przeżyć. Tego samego dnia pojawiło się ze strony męża pytanie o wyjazd. Skompletowałam dokumenty i spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy, które zmieściły się w trzech plecakach. Wyjeżdżając, myślałam, że na maksymalnie dwa, trzy tygodnie…

Był 7 marca 2022 roku, mroźny i słoneczny poranek. Stacja kolejowa. Pożegnanie męża i strach w oczach dziecka. **Mój syn rozstawał się z ojcem po raz pierwszy od 12 lat.** U mnie gula w gardle i pustka… Jechaliśmy pociągiem w stronę polsko-ukraińskiej granicy. W każdym wagonie znajdowało się około 100 osób. Dzieci spały jedno obok drugiego na korytarzu, w toaletach, gdziekolwiek... Dwa dni „piekła".

Po trzech dniach dotarliśmy do Warszawy. Wolontariusze pomogli nam wynająć mieszkanie na miesiąc. Chcieliśmy na dłużej, ale właściciel miał inne plany. Poprosił nas o wyprowadzenie się i dał nam dziewięć dni. **Nikogo tutaj nie znaliśmy, nie wiedzieliśmy, do kogo zwrócić się o pomoc.** Kiedy byliśmy już bliscy rozpaczy, zadzwonili do mnie wolontariusze i powiedzieli, że możemy zostać przyjęci w katolickim kościele, a raczej w domu zakonnym. Zareagowaliśmy na taką propozycję z dużą rezerwą, niemniej jednak zadzwoniłam na podany numer telefonu, żeby umówić się na spotkanie. Zostaliśmy przywitani i przyjęci przez bardzo sympatycznego człowieka, jak się później okazało, księdza. Był **to typ osoby, która promienieje życzliwością i ciepłem**. Na początku byliśmy trochę zdezorientowani, ale ksiądz uspokoił nas i zapewnił, że możemy tutaj mieszkać do końca wojny na Ukrainie. Ku naszemu zaskoczeniu powiedział, że możemy mieszkać tu całkowicie za darmo.

Wkrótce okazało się, że w tym domu mieszkają już dwie rodziny z okolic Kijowa. Zostaliśmy bardzo dobrze przyjęci i zapewniono nam wszystko, czego potrzebowaliśmy. Potem przybyła jeszcze rodzina z Winnicy. I tak zaczęliśmy żyć i tworzyć wspólnotę jak jedna wielka rodzina złączona we wspólnym bólu i strapieniu. **Każda z tych rodzin ma własną historię i drogę**, która przyprowadziła ich do tego domu zakonnego.

Chciałabym wyrazić swoją wdzięczność osobom, które nas tutaj przyjęły, akceptują i pomagają w każdy możliwy sposób, a nawet więcej. Jestem wdzięczna Bogu i losowi, że w tym trudnym czasie spotkałam na naszej drodze tak życzliwych ludzi. **Nigdy nie zapomnę ich dobroci i zwykłych gestów człowieczeństwa.** Ksiądz, który się nami opiekuje, stał się dla nas jak anioł stróż. Ma wielkie, otwarte na potrzeby innych serce. Robi dzieciom niespodzianki, przynosi im słodycze, owoce, gra z nimi w tenisa stołowego i odrywa ich myśli od tego, co dla nich trudne. Mieszkający tu księża chronią nas i nasze dzieci, a dzięki temu dają im namiastkę domu, który w tym momencie utraciły.

Również kobiety, które pomagają tu w pracach domowych, są dla nas bardzo miłe. Chciałabym jeszcze raz wszystkim bardzo podziękować. **Jesteście niesamowici! Dziękuję całemu narodowi polskiemu** za to, że wyciągacie do nas pomocną dłoń w czasie, kiedy pogrążyliśmy się w ciemnościach straszliwej wojny. Wy, jak nikt inny, stoicie obok nas ramię w ramię, ratujecie nasze kobiety i dzieci od horroru i śmierci, jakie Rosja sprowadziła na naszą ziemię. ▪



Dobrze, że jesteś

Ksiądz Marcin Januś SCJ jest proboszczem w Swobodzie-Raszkowie, niewielkiej miejscowości w Naddniestrzu. Za swoją działalność duszpasterską i charytatywną na rzecz tej społeczności został wyróżniony Brązowym Krzyżem Zasługi. Misjonarza pytamy o codzienność jego parafian i młodzieży objętej programem „Studia od Serca" naszego Sekretariatu Misji.


IHS



Dorota Pośpiech: Ile lat pracuje Ksiądz w Naddniestrzu i jak wspomina ten czas?

ks. Marcin Januś SCJ: W Mołdawii-Naddniestrzu jestem od sierpnia 2001 roku. To sporo czasu. Czasu pełnego różnych doświadczeń i wielu spotkań z ludźmi, szczególnie młodymi. Od samego początku byłem zaangażowany w duszpasterstwo dzieci i młodzieży. Przez kilka lat odpowiadałem za organizację Diecezjalnych Dni Młodzieży, korzystając przy tym z doświadczeń zgromadzonych podczas Sercańskich Dni Młodzieży w Pliszczynie. Kiedy pracowałem z młodzieżą w Mołdawii, miałem możliwość uczestniczenia w wielu międzynarodowych spotkaniach. To bardzo ciekawe przeżycie zderzenia dwóch światów: małej, wielonarodowej i wielokulturowej wspólnoty Kościoła mołdawskiego z Kościołem powszechnym.

Co jest dla Księdza najważniejsze w byciu misjonarzem? Na czym najbardziej skupia się Ksiądz w swojej codziennej pracy?

Na swoim prymicyjnym obrazku umieściłem słowa założyciela naszego zgromadzenia, Ojca Dehona: „Idźcie, dajcie poznać światu miłość Serca Jezusowego". W tym, co robię, staram się być wierny tym słowom.

Bardzo ważną częścią mojej posługi są dzieła charytatywne, socjalne. Większość z nich była i jest związana z dziećmi i młodzieżą oraz ludźmi starszymi. Były to nie tylko obiady w szkolnej stołówce, ale też zajęcia wyrównawcze czy rozwijające zdolności artystyczne. Obecnie kontynuuję program dożywiania dla 35 dzieci ze Szkoły Podstawowej w Swobodzie-Raszkowie. Jeszcze przed pandemią rozpocząłem współpracę z Sekretariatem Misji Zagranicznych Księży Sercanów. Pobyt polskich wolontariuszy z Sercańskiego

Wolontariatu Misyjnego w Naddniestrzu zaowocował pomysłem stworzenia programu „Studia od Serca". To wsparcie dla młodzieży ze Swobody-Raszkowa w edukacji zawodowej tutaj na miejscu, a także w Polsce.

> Moja aktualna placówka to Swoboda-Raszków w Naddniestrzu. W większości mieszkają tu katolicy, którzy podkreślają swoje polskie korzenie.

Jak by opisał Ksiądz realia i codzienność okolicznych mieszkańców – swoich parafian?

Moja aktualna placówka to parafia Świętej Marty w Swobodzie-Raszkowie. To miejscowość założona około 1785 roku przez ormiańskiego proboszcza. Do dziś w większości mieszkają tu katolicy, którzy podkreślają swoje polskie korzenie. Ich codzienność to ciągłe zmaganie się z różnymi trudnościami, z wykluczeniem. Pierwszą jest nieokreślony status Naddniestrza – jest to kraj, którego nikt nie uznaje. Oficjalnie nie istnieje, ale w praktyce ten stan trwa już 30 lat (tyle czasu minęło, od kiedy odłączył się od Mołdawii). Mają swojego prezydenta, rząd, wojsko, walutę… i około sześciu tysięcy żołnierzy armii rosyjskiej stacjonujących tutaj jako „siły pokojowe". Przez swoją odrębność narodową (większość mieszkańców to Polacy) i religijną (około 400 na 550 mieszkańców to katolicy) byli izolowani w czasach sowieckich. Sama lokalizacja Swobody w pasie granicy z Ukrainą pogłębia tę izolację.

Wykluczenie komunikacyjne to kolejna przeszkoda – do najbliższej drogi asfaltowej mieszkańcy mają około siedmiu kilometrów. Bus z Kamionki, miasteczka gminnego oddalonego o 28 kilometrów, przyjeżdża tylko raz w tygodniu. Drogi w wiosce są tylko trochę utwardzone. Gdy padają deszcze, trudno się po nich poruszać, a gdy jest susza, wszędzie unoszą się chmury pyłu. Do najbliższego ośrodka zdrowia jest 12 kilometrów.





Dużym problemem do minionej wiosny był dostęp do wody pitnej. Studnie, z których korzystają mieszkańcy, są płytkie i na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat coraz częściej wysychały – zwłaszcza latem, kiedy długo utrzymywała się bezdeszczowa pogoda. Po siedmiu latach starań wreszcie mamy wodociąg i w każdym obejściu jest woda. Kolejnym dobrem cywilizacyjnym jest gaz ziemny, przez większość mieszkańców wykorzystywany w kuchni i do ogrzewania domów zimą. Przez naszą lokalizację częste są problemy z telefonią komórkową, gdyż żaden z operatorów nie ma dobrego zasięgu.

Ogromne bezrobocie. Stałą pracę daje właściwie tylko miejscowa ▸



> Współpraca z Sekretariatem Misji zaowocowała stworzeniem projektu „Studia od Serca". To wsparcie dla młodzieży ze Swobody-Raszkowa w edukacji zawodowej tutaj na miejscu, a także w Polsce.

szkoła i przedszkole. Większość pracujących tam to emeryci. Młodych ludzi nie zadowalają wynagrodzenia w wysokości od 1000 do 2500 PMR (czyli rubli naddniestrzańskich, to równowartość 60 – 150 dolarów), bo nie da się za to utrzymać rodziny. Na stałe wydatki komunalne trzeba mieć średnio 300 – 400 PMR. Kilogram chleba kosztuje 10 PMR, kilogram cukru 12 PMR, kilogram wieprzowiny 75 – 90 PMR, 10 jajek to 15 PMR. Dlatego młodzi szukają pracy w mieście lub za granicą. Do 2014 roku dużo mężczyzn i kobiet wyjeżdżało do Rosji i na Ukrainę. Od kiedy na wschodzie Ukrainy rozpoczęła się wojna, większość wyjeżdża do Polski i krajów nadbałtyckich. Często wybór pada na Polskę, bo mają podstawową znajomość języka polskiego ze szkoły i z kościoła, a wielu ma nawet Kartę Polaka. Do domów przyjeżdżają dwa, trzy razy do roku na kilka tygodni. Cierpią na tym więzi rodzinne, a najbardziej dzieci. Ci, którzy pozostają w wiosce, uprawiają małe ogrody, po około pół hektara. Hodują świnie, kury i kaczki, czasem kozę, coraz rzadziej krowę – często na spółkę z drugą rodziną (wtedy łatwiej jest wykarmić ją zimą).

Dlaczego pomoc w edukacji dzieci i młodzieży ze Swobody-Raszkowa jest ciągle potrzebna? Z jakimi trudnościami oprócz bezrobocia i braku perspektyw mierzą się tam młodzi ludzie?

W Swobodzie jest tylko dziewięcioklasowa szkoła podstawowa. Pełne średnie wykształcenie daje dziesiąta i jedenasta klasa. Do najbliższej takiej szkoły jest około siedmiu kilometrów. Z uwagi na brak komunikacji nikt do niej nie uczęszcza. Sporo dzieci z powodu ubóstwa nie kontynuuje nauki. Część nastolatków w wieku 15 – 16 lat, dla zdobycia zawodu i dalszej edukacji, wyjeżdża do Kamionki lub Rybnicy, oddalonych o 30 kilometrów w różne strony, albo do Tyraspola czy Bender – dużych miast na południu Naddniestrza oddalonych o 130 – 150 kilometrów. Ukończenie technikum

daje zawód i możliwość podjęcia studiów. Kiedyś wszystkie takie szkoły miały internaty. Obecnie większość nie działa lub jest w tak opłakanym stanie, że rodzice muszą uczącym się dzieciom wynajmować mieszkania (koszt to około 40 – 60 dolarów miesięcznie plus rachunki – woda, światło, gaz). Ci, którzy uczą się bliżej, co tydzień przyjeżdżają do domu, a ci z daleka czasem raz na miesiąc lub raz na dwa miesiące. Dla wszystkich dodatkowym wyzwaniem jest konieczność korepetycji z języka angielskiego. W szkole w Swobodzie uczą się go dopiero czwarty rok. Dotąd status obowiązkowego języka obcego miał język polski. W wyjeździe na naukę do miasta młodzież upatruje szansy na wyrwanie się z wioski, która kojarzy się im z błotem, kurzem i ciężką fizyczną pracą na roli. Większość domów nie ma jeszcze normalnej łazienki, a toaleta to wychodek za domem na ogrodzie. Po skończonej nauce szukają pracy w mieście, ale wielu wyjeżdża za granicę.

Czy przypomina sobie Ksiądz indywidualną historię kogoś, kto korzysta ze stypendium i dzięki temu zrealizował swoje marzenia, pasje?

Pierwszą taką osobą jest Katarzyna – uczy się w trzeciej klasie technikum gastronomicznego w Tyraspolu. Rok temu w liście do Sekretariatu Misji napisała, że bardzo chciałaby się nauczyć grać na gitarze, a kiedyś napisać i nagrać własną piosenkę. Nic jej nie mówiąc, kupiłem jej gitarę. Dziś gra i śpiewa, wprawdzie na razie tylko dla siebie i koleżanki na stancji. Brakuje jeszcze pewności siebie i śmiałości, a przez pandemię – okazji do zaprezentowania się i zdobycia doświadczenia. Ale nigdzie nie rusza się bez gitary.

Następny to Andrzej, trzecia klasa technikum elektrycznego w Rybnicy. Marzeniem jego i czwórki rodzeństwa było dokończenie remontu starego domu i przeniesienie się od dziadków z jednego wspólnego pokoju do swoich trzech, żeby móc uczyć się każdy przy swoim biurku, a nie razem przy jednym stole.

Bogdan uczy się w Polsce, w drugiej klasie technikum informatycznego. Po siódmej klasie na dwa miesiące pojechał z mamą do pracy w Polsce. Po powrocie powiedział, że musi zdobyć dobry zawód, aby tak ciężko nie pracować i pomagać mamie. Pierwszą klasę zakończył z bardzo dobrymi wynikami, na 30 osób w klasie był na piątym miejscu pod względem średniej ocen.

Andrzej też uczy się w Polsce. Już prawie się usamodzielnił. Ma przed sobą maturę w technikum rolniczym w Kaliszu. Był w gronie pierwszych stypendystów „Studiów od Serca". Mówi, że później chciałby pójść na studia rolnicze. Czy wróci do Mołdawii, do Naddniestrza? Nie wiem. Wiem, że dzięki Waszej pomocy on i 15 innych młodych osób dostało szansę na zdobycie wykształcenia i na razie dobrze ją wykorzystują.

Czy mieszkańcy Swobody-Raszkowa mają problem z tożsamością narodową? Czy kultywują polskie tradycje? Jak pomaga w tym wiara?

Jeśli chodzi o tożsamość państwową – uważają się za Pridniestrowców, tj. Naddniestrzan. Narodowościowo zdecydowana większość ►





uważa się za Polaków. Od momentu pojawienia się dokumentu o nazwie Karta Polaka starzy i młodzi swobodzianie zaczęli się o nią starać. Chcieli po prostu mieć potwierdzenie ze strony Rzeczypospolitej, że są Polakami. Zainteresowanie Kartą Polaka jest wciąż duże, gdyż daje ona szereg przywilejów dla jej posiadaczy – przyjeżdżających do Polski do pracy, w celu kontynuowania nauki czy nawet w celu osiedlenia się. Mnie cieszy fakt, że młodzi identyfikują się jako Polacy, chociaż nie posługują się językiem polskim. Gdy w wieku 16 lat otrzymują dowód osobisty, są pytani o narodowość. Odpowiadają: polska. Trzeba sobie uświadomić, że Swoboda-Raszków przed drugim rozbiorem Polski znajdowała się w granicach I Rzeczypospolitej. Od ponad 220 lat żyją w strefie języka rosyjskiego i kultury prawosławnej. Polskie tradycje i język zachowali zwłaszcza dzięki wierze i religii katolickiej. W czasie II wojny światowej od 1939 do 1944 roku zmobilizowano aż 187 mieszkańców wsi. W szeregach Armii Polskiej na Wschodzie służyło 88 Polaków ze Swobody, z których tylko dwóch było prawosławnymi. Ci, którzy wrócili z wojny, uczyli języka polskiego tak, jak nauczyli się go na froncie. W latach represji komunistycznych oddawali życie, modląc się po polsku. Znaku krzyża w rodzinach nadal uczą się po polsku: „W imię Ojca…", a nie po rosyjsku: „*Wo imia Otca…*". Ciągle jeszcze można spotkać w domach modlitewniki w języku polskim, przepisane ręcznie za pomocą cyrylicy.

> W wyjeździe na naukę do miasta młodzież upatruje szansy na wyrwanie się z wioski, która kojarzy się im z błotem, kurzem i ciężką fizyczną pracą na roli.

Czy mógłby Ksiądz podzielić się swoimi największymi radościami i największymi wyzwaniami misyjnymi z perspektywy Polaka-misjonarza?

Jestem pod ogromnym wrażeniem świadectwa ich historii i wiary, tego, ile wycierpieli, żeby przetrwać, zwłaszcza w czasach komunizmu. Jak starzy i chorzy parafianie modlą się w domach przy swoich ołtarzykach, jak wspierają się na dwóch kulach (a tak naprawdę pałkach) i przychodzą do kościoła na nabożeństwa. Martwi mnie podejście najmłodszego pokolenia, zwłaszcza dzieci i młodzieży. Nie wiem, czy za 20 lat będzie komu modlić się w naszym kościele. Nie znają historii swoich przodków. To jedna z moich trosk. Stan naszego kościółka, zwłaszcza jego

przeciekający dach, to kolejna troska. Od roku zbieramy fundusze na remont kościoła. W lutym 2021 roku wymieniliśmy okna i drzwi, i wreszcie nie ma przeciągu w kościele. Nie przyjechałem tu budować polskiego Kościoła, chociaż bardzo dużo czerpię z polskich źródeł i dziedzictwa. Polska i Polacy pomagają mi nieustannie. Od lat odprawiam Msze Święte w intencjach przekazywanych z Polski. To wielka pomoc, za którą jestem bardzo wdzięczny. Pojedyncze osoby, organizacje społeczne i różne fundacje uczestniczą w działalności socjalnej, charytatywnej i kulturalnej. Udało się doprowadzić do podpisania umów partnerskich z polskimi samorządami. Sześciotygodniowy pobyt wolontariuszy sercańskich latem 2018 roku pozostawił dobre wspomnienia, niektóre znajomości trwają do dziś. Zapoczątkował on pomoc naszej młodzieży w ramach projektu „Studia od Serca".

Czy jest coś, co chciałby Ksiądz dodać od siebie dla naszych Darczyńców?

Pomagacie młodym ludziom z polskiej wioski na prawdziwych i dalekich Kresach I Rzeczypospolitej nie tylko w zdobyciu wykształcenia. Pomagacie im uwierzyć w siebie, że warto marzyć i że marzenia mogą się spełniać. Nawet jeżeli są to na razie małe marzenia, to budujecie w nich wiarę w ludzką bezinteresowność i solidarność, tak charakterystyczne dla Polaków.

Pandemia uwypukliła szereg problemów, szczególnie wybił się indywidualizm i kruchość relacji i więzi rodzinnych, które przecież są tak ważne. Wiem, że czeka mnie jeszcze wiele pracy i tej ewangelizacyjnej, i tej społecznej, i kulturalnej też. Też mam marzenia. To odnowiony i ciepły kościół, to tętniący życiem i radością dzieci bezpieczny plac zabaw, to ogród biblijny. Zapraszam na wolontariat, na półkolonie, skosztować lokalnej kuchni, a zwłaszcza wertuty. Dziękuję za Waszą życzliwość i ofiarność. Na zakończenie każdej Mszy Świętej modlimy się za Was słowami modlitwy „Anioł Pański". „Dobrze, że jesteś" – tak kończymy spotkania naszej parafialnej grupy ewangelizacyjnej. ▪





Jestem dumny, że znam tych ludzi

Szymon OSIELENIEC

O swoim doświadczeniu w wolontariacie i sentymencie do mieszkańców Swobody-Raszkowa, ale także o ich trudnej codzienności pisze Szymon Osieleniec. Szymon to jeden z wolontariuszy Sercańskiego Wolontariatu Misyjnego „Missio Cordis", który pomagał w organizacji półkolonii w Naddniestrzu latem 2018 roku.

Wyjazd do Naddniestrza był jedną z najlepszych decyzji, jaką podjąłem w swoim dotychczasowym życiu. Należy wspomnieć, że zdecydowałem się na to dość szybko, bo w maju 2018 roku poznałem księdza Zbigniewa Chwaję SCJ i dołączyłem do wolontariatu „Missio Cordis", a już w sierpniu wyjechaliśmy do Naddniestrza. Byłem wtedy w klasie maturalnej, więc z tyłu głowy pojawiła się myśl, żeby nie jechać, bo matura, sporo nauki. Jednak zdecydowałem się i nie żałuję tej decyzji. Sprawę ułatwił fakt, że dobrze znam język rosyjski i interesuję się historią oraz wschodnią kulturą. Naddniestrze wydało mi się bardzo egzotyczne mimo tego, że leży stosunkowo blisko naszego kraju, a informacja o tym, że jadę do prawdziwych Kresów Rzeczypospolitej Polskiej, jeszcze bardziej utwierdziła mnie w tej decyzji.

Codzienność wolontariusza

Wyjeżdżając na wolontariat misyjny, szczerze mówiąc, nie wiedziałem, na czym to polega. Nie wiedziałem, co chcę tam robić, co mogę z siebie dać. Nie chcę, żeby zabrzmiało to tak, że pojechałem tam nieświadomie. Po prostu szukałem czegoś, co mnie zaciekawi, będzie okazją do rozwoju, a zarazem da możliwość pomocy innym. Teraz z pełną świadomością mogę powiedzieć, że wolontariat misyjny to miejsce, w którym najważniejszy jest drugi człowiek. Potrzeba naprawdę niewiele, żeby sprawić radość drugiemu człowiekowi. Wyjazd do Naddniestrza nauczył mnie, żeby nie być obojętnym na drugiego człowieka. Jeśli masz możliwości, to po prostu pomóż, porozmawiaj, wesprzyj. Niby tak niewiele, a jednak.

Z wyjazdu najbardziej utkwiła mi w pamięci wielka życzliwość i dobro ludzi mieszkających we wsi Swoboda-Raszków, naszych rodaków. Usłyszeć język polski z ich ust, uczestniczyć w Eucharystii odprawianej po polsku było bez wątpienia wyjątkowym doświadczeniem. Wolontariat sprawił, że mam osobisty sentyment do tej wioski. Utożsamiam się z jej społecznością i jestem dumny, że znam tych wspaniałych ludzi.

Życie mieszkańców Swobody-Raszkowa różni się od naszego. W Polsce, zwłaszcza w dużych miastach, żyjemy bardzo szybko. Czas przelatuje nam przez palce, gonimy, jesteśmy w ciągłym niedoczasie. A wjeżdżając do Swobody, miałem poczucie, jakby czas się zatrzymał. Wtedy pierwszy raz usłyszałem, że my w Polsce mamy zegarki, ale oni (tutejsi) mają czas. I coś w tym na pewno jest. Pamiętam, jak lekko denerwowało mnie spóźnianie się dzieci na zajęcia z angielskiego czy na wspólną grę w piłkę. Z biegiem czasu jednak przyzwyczaiłem się do tego.

Na własnej skórze przekonałem się, że mieszkańcy są bardzo życzliwi, uczynni, ciepli. Na pewno potrafią dzielić się tym, co mają. Pamiętam, że kiedy malowaliśmy plac zabaw, jedna z babć podeszła do nas i dała reklamówkę pełną śliwek i melonów. Parę godzin później inna kobieta przyniosła kilka arbuzów ze swojego pola.

Realia mieszkańców

Życie w Naddniestrzu różni się od polskiej rzeczywistości. Trzeba pamiętać, że mieszkańcy Swobody żyją w państwie, które *de facto* nie istnieje. Jest uznawane wyłącznie przez Abchazję i Osetię Południową, które same nie są uznawane za osobne państwa przez większość świata. Na arenie międzynarodowej ►





Naddniestrze jest traktowane jako region autonomiczny Mołdawii, jej integralna część. Kiedy przyjechałem tam cztery lata temu, życie w wiosce było na pewno trudniejsze niż teraz. Największym problemem była kwestia wody i wodociągów, których po prostu nie było. Każdy dom miał swoją studnię. W wiosce było też kilka miejsc z ogólnodostępnymi studniami i ludzie mogli z nich korzystać. Najgorsza sytuacja była w lecie, kiedy ilość opadów była niewielka. Skoro brakowało wodociągów, to jakość wody również pozostawiała wiele do życzenia. Była to tak zwana woda technologiczna, czyli niezdatna do spożycia, ale mieszkańcy ją pili, my zresztą też. Problemem

> Z wyjazdu najbardziej utkwiła mi w pamięci wielka życzliwość i dobro ludzi mieszkających we wsi Swoboda-Raszków, naszych rodaków.

Swobody-Raszkowa bez wątpienia jest także stan drogi dojazdowej od miejscowości Katerynówka do wioski, jak i dróg wewnętrznych w obrębie miejscowości. Myślę, że w lecie jest prościej, bo nie ma takiego błota jak na jesieni czy w zimie. Co nie zmienia faktu, że po zmroku lepiej mieć ze sobą latarkę, bo idąc po nierównej drodze, można zrobić sobie krzywdę.

Oprócz tego widoczny jest ogromny problem braku pracy. W okolicy Swobody-Raszkowa brakuje dużych czy nawet średnich zakładów pracy, gdzie mieszkańcy mogliby zarobić godziwe pieniądze na utrzymanie swoich rodzin. W wiosce miejscami pracy są dwa sklepy spożywcze, szkoła i przedszkole. Wiele osób prowadzi niewielkie gospodarstwa rolne, które nie przynoszą dużych dochodów. Dlatego wielu mieszkańców wyjeżdża za granicę – do Polski, Rosji czy Ukrainy. Emigracja powoduje, że region się wyludnia. Wyjeżdżają głównie młodzi ludzie.

Kiedy przyjechałem do Swobody-Raszkowa ponownie (w lipcu 2021 roku), byłem pozytywnie zaskoczony, że problem z wodą i wodociągiem został rozwiązany. Mieszkańcy mogą już bez problemu podpinać się do wodociągów, budować łazienki w domach. Dzięki temu standard życia z pewnością będzie wyższy. Dodatkowo ksiądz Marcin Januś SCJ, sercański misjonarz i proboszcz miejscowej parafii, wspominał mi, że część osób wraca do Swobody – czy to z zagranicy, czy z tamtejszych miast – co napawa optymizmem. Chociaż mieszkańcy Swobody nie mają najłatwiejszego życia, wyglądają na szczęśliwych ludzi. Żyją skromnie, ale spokojnie.

Problemy młodzieży

Największą trudnością dla młodych ludzi w Swobodzie-Raszkowie, jak i całym Naddniestrzu, jest brak perspektyw na dobrą pracę i godną

płacę. Jak już wspominałem, w wielu przypadkach młodzi po prostu wyjeżdżają za granicę i tam szukają dla siebie szansy na lepsze życie. Uważam, że jakość kształcenia, jak i cała edukacja w Naddniestrzu nie stoi na wysokim poziomie, co również nie pomaga młodym ludziom. Wyjazd do szkoły średniej do pobliskich miast wiąże się z dużymi nakładami finansowymi, co czasem stanowi barierę nie do pokonania. Szczególnie jest to smutne w przypadku zdolnych dzieci, które chcą się dalej kształcić w szkołach w Tyraspolu czy w Benderach. Stąd pomysł,

> Projekt jest szansą dla młodzieży mieszkającej w Swobodzie-Raszkowie i bardzo się cieszę, że w jakiś sposób możemy dołożyć cegiełkę do tego, żeby spełniały się jej marzenia.

który zrodził się w nas po powrocie z wolontariatu cztery lata temu. Projekt „Studia od Serca" to zbiórka środków na stypendia szkolne dla młodzieży, która pragnie kontynuować naukę w szkole średniej. Pieniądze z programu stypendialnego są przeznaczone na pokrycie kosztów zamieszkania w internacie szkolnym oraz wyżywienia. Projekt jest szansą dla młodzieży mieszkającej w Swobodzie-Raszkowie i bardzo się cieszę, że w jakiś sposób możemy dołożyć cegiełkę do tego, żeby spełniały się jej marzenia. Niemniej jednak to wszystko nie miałoby racji bytu, gdyby nie ksiądz Marcin Januś SCJ. To dzięki niemu część dzieci ze Swobody-Raszkowa ma teraz możliwość nauki w Polsce. Ksiądz Marcin swoją





wielką pracą i determinacją przyczynił się do tego, że jedna grupa dzieci ze Swobody uczy się aktualnie w szkole średniej w Małopolsce, a druga grupa – w szkole średniej w Wielkopolsce. To daje im jeszcze większe szanse rozwoju i widoki na lepszą przyszłość, za co bardzo mu dziękuję i chylę czoła. Zarówno stypendyści, jak i ich rodziny na pewno zdają sobie sprawę, jak wielka jest to pomoc i szansa dla nich i dla ich dzieci.

Misjonarz na medal

Ksiądz Marcin Januś SCJ jest dla mnie wyjątkową osobą. Można powiedzieć, że nie znam drugiego takiego kapłana, patrioty, a zarazem ciepłego i normalnego człowieka, który służy innym. Kiedy poznaliśmy się cztery lata temu i zobaczyłem, z czym mierzy się na co dzień w Naddniestrzu, nie miałem wątpliwości, że jest człowiekiem odważnym, kreatywnym i w zupełności oddanym tym ludziom i tej miejscowości. Gdyby nie on, prawdopodobnie nigdy bym się tam nie znalazł. To, że wpadł na pomysł półkolonii i lekcji języka angielskiego dla tamtejszej młodzieży i skierował te prośby do Sekretariatu Misji Zagranicznych Księży Sercanów, pozwoliło nam tam pojechać, zobaczyć i pomóc misjonarzowi oraz lokalnej społeczności na tyle, na ile potrafiliśmy. O tym, jaką osobą jest ksiądz Marcin, niech świadczy fakt, że w sierpniu 2021 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda odznaczył księdza Marcina Brązowym Krzyżem Zasługi, który wręczył mu Ambasador RP w Kiszyniowie Bartłomiej Zdaniuk podczas parafialnego odpustu. Miałem okazję uczestniczyć w tej podniosłej uroczystości, ponieważ przebywałem wtedy w Swobodzie. Kiedy słuchałem ostatniej audycji Radia Kraków, w której brał udział ksiądz Marcin, zapadły mi w pamięć jego słowa. Opowiadał, jak kiedyś jego mama zwróciła uwagę na to, że przyjechał do domu, ale po kilku dniach stwierdził, że chce wracać „do siebie". „Do siebie", czyli do Naddniestrza. To pokazuje, jak bardzo oddanym jest misjonarzem, jak bardzo umiłował polskie Kresy i ludzi, którzy tam mieszkają. Dzięki niemu Swoboda i tamtejszy Kościół mają się bardzo dobrze i widać, że lokalna wspólnota czerpie z tego pełnymi garściami. ▪

Sercański Wolontariat Misyjny „Missio Cordis" to nie tylko możliwość wyjazdu na misje do Albanii czy Naddniestrza, ale przede wszystkim wyjątkowe doświadczenia. Jeśli myślisz, że to coś dla Ciebie, napisz wiadomość na adres: **misje@scj.pl** lub zadzwoń pod numer **+48 668 363 731**. Za przygotowanie wolontariuszy do wyjazdu na misje odpowiada ks. Zbigniew Chwaja SCJ, sekretarz misji i wieloletni misjonarz w RPA.



Witajcie!

Mam na imię Katia. Pochodzę ze Swobody–Raszkowa. W mojej parafii od wielu lat pracują księża sercanie. Kilka lat temu, podczas letnich wakacji, byli u nas wolontariusze z Polski. To oni wpadli na pomysł programu stypendialnego „Studia od Serca". Chciałabym im oraz wszystkim Darczyńcom podziękować za pomoc. Dzięki Wam mogę się uczyć w technikum gastronomicznym. Moja szkoła znajduje się w Tyraspolu, 160 kilometrów od mojej wsi. Stypendium wystarcza mi na opłacenie mieszkania, które wynajmuję razem z koleżanką Mariją, też stypendystką, na przyjazd do domu raz na dwa miesiące i kupno potrzebnych pomocy czy produktów na praktyki w kuchni. Moi rodzice nie mogliby sami zapewnić mi tego wszystkiego, a mam jeszcze młodszego brata. Oni też przyłączają się do podziękowań.

Aktualnie jestem w trzeciej klasie technikum. Z nauką ostatnio było trudno, bo połowę pierwszego i cały drugi rok uczyliśmy się zdalnie. Część tego czasu mieszkałam w Tyraspolu, a część w domu. Tej zimy w Wigilię razem z mamą zachorowałam na COVID-19. Było trochę ciężko, ale obyło się bez szpitala. W trzeciej klasie uczymy się już stacjonarnie, mamy dużo zajęć zawodowych. Jest praktyka, ale też teoria. Jak do tej pory wszystko mi się podoba. Pod koniec września zdałam pierwszy egzamin zawodowy. Mam już trzecią kategorię kucharza. Gotowanie dobrze mi idzie, to trzeba po prostu lubić. Najbardziej lubię przygotowywać słodkie przekąski i desery. Ksiądz Marcin poprosił mnie o upieczenie ciasta na odpust. Jak zaczęłam wszystko przygotowywać, to wyszły mi trzy różne ciasta.

Ostatniej zimy spełniło się moje wielkie marzenie. Dzięki Wam kupiłam sobie gitarę!!! Jestem bardzo szczęśliwa. Na początku nauka wymagała cierpliwości, trzeba było mieć dużo siły w palcach. Uczyłam się sama z internetu. Dużo ćwiczyłam podczas pandemii, kiedy dużo siedziało się w domu. Myślę, że teraz idzie mi już bardzo dobrze. Bardzo lubię śpiewać i posiadanie gitary mi w tym pomaga. W szkole śpiewałam w zespole Słobodzianki piosenki polskie, ukraińskie i rosyjskie. Chciałabym kiedyś zaśpiewać na dużej scenie... To jest moje ogromne marzenie, którego spełnienie zależy ode mnie.

Jeszcze raz dziękuję za wszystko! Zapraszam do Naddniestrza i Swobody.

Katia



Żyj lokalnie, myśl globalnie

Czy jedna osoba może zmienić cały świat? Jak moje codzienne decyzje mogą wpływać na życie kogoś na drugim końcu świata? I co ma do tego edukacja globalna?

Dorota POŚPIECH

Żyjąc z dnia na dzień, wykonując rutynowe czynności, nasze myślenie i działanie ograniczamy zazwyczaj do najbliższego środowiska. Czasem, gdy zachodzi taka potrzeba, jesteśmy w stanie skierować myśli na szerszą perspektywę, ale i tak na ogół nie wykracza ona poza granice naszego kraju. A już zupełną trudność większości z nas sprawia myślenie o całym świecie jak o globalnej wiosce, w której wszyscy są w pewnym sensie od siebie zależni. Dopiero gdy pojawia się taka sytuacja jak pandemia koronawirusa, potrafimy wyjść z naszej bezpiecznej bańki i zobaczyć, że świat wokół nas to znacznie więcej niż to, co znamy. Że problem, który pojawił się w Chinach, gdzieś po drugiej stronie globu, może dotyczyć również nas.

Edukacja globalna

Dlatego też jako organizacja wspierająca mieszkańców krajów misyjnych chcielibyśmy zwrócić szczególną uwagę na zagadnienie, które z naszej perspektywy jest bardzo ważne, a ciągle jeszcze mało znane. Jest nim edukacja globalna. Głównym celem różnych działań podejmowanych w ramach edukacji globalnej jest zwiększenie świadomości na temat wzajemnych zależności pomiędzy Globalnym Południem (kraje Afryki, Ameryki Południowej, Azji – kraje ubogie, żyje w nich trzy czwarte

ludności świata) a Globalną Północą, do której należą przede wszystkim Europa i Stany Zjednoczone.

Edukacja globalna porusza wiele tematów, które dotyczą świata jako całości. Większość z nich, jak ubóstwo, nierówności społeczne czy zasoby naturalne, podejmujemy na co dzień jako organizacja, która działa na rzecz misji. Budując mosty pomiędzy darczyńcami z Polski a lokalną społecznością w Czadzie, na Filipinach czy w Boliwii, widzimy realny wpływ tego, jak decyzja pojedynczego człowieka w Europie może zmienić życie kogoś na drugim końcu globu. Nie chcemy jednak zatrzymać się tylko na działaniach charytatywnych i ewangelizacyjnych. Naszym celem jest również edukowanie, budowanie prawdziwego obrazu krajów misyjnych, łamanie stereotypów i mówienie o problemach w sposób niestandardowy.

Połączeni siecią powiązań

Na co dzień często zapominamy, że jako ludzie, obywatele, mieszkańcy danego zakątka świata, jesteśmy połączeni siecią globalnych powiązań – społecznych, ekonomicznych, politycznych, kulturalnych i środowiskowych. Od naszych działań i codziennych wyborów zależy więcej, niż nam się wydaje.

Woda

W Tanzanii dostęp do bezpiecznych źródeł wody ma 55% społeczeństwa, a do urządzeń sanitarnych jedynie 33%. Tymczasem w luksusowych hotelach na Zanzibarze (archipelagu należącym do Tanzanii) turysta zużywa nawet 2000 litrów wody dziennie. To kilkanaście razy więcej, niż może zużyć przeciętny mieszkaniec kontynentalnej części tego kraju.

Śmieci i surowce

Na świecie co roku wytwarza się około 50 milionów ton elektronicznych śmieci, takich jak komputery, telefony czy telewizory. Jest ich tak dużo, że po wycofaniu z użycia kraje zachodnie nie są w stanie same ich zutylizować. Prym w produkcji tych urządzeń wiodą Europa i Stany Zjednoczone. Duża część z nich jest nielegalnie transportowana do Indii, Pakistanu, Nigerii czy Ghany. Zaledwie niewielki procent tego sprzętu trafia na rynek wtórny, reszta ląduje na nielegalnych wysypiskach.

W Europie cztery na dziesięć osób wymienia telefon średnio co dwa lata. Co piąty mieszkaniec Globalnej Północy robi to co roku lub częściej. Do produkcji telefonu komórkowego potrzebnych jest 30 metali. Większość z nich pochodzi z krajów Globalnego Południa, takich jak Demokratyczna Republika Konga, Zambia, RPA, Chile, Rosja czy Indonezja. Szczególnie w krajach afrykańskich wiąże się to z dewastacją środowiska i ogromnymi kosztami społecznymi.

> Budując mosty pomiędzy darczyńcami z Polski a lokalną społecznością w Czadzie, na Filipinach czy w Boliwii, widzimy realny wpływ tego, jak decyzja pojedynczego człowieka w Europie może zmienić życie kogoś na drugim końcu globu.

Handel

Kawa, herbata, czekolada czy banany to stałe punkty Twojej listy zakupów? Są to produkty, które pochodzą z krajów Globalnego Południa. Chociaż często płacimy za nie dużo, to rolnicy, którzy trudzili się nad uprawą ziaren kawy czy kakaowca, dostają za swoją pracę marną zapłatę. Większość zysków z tych produktów otrzymują pośrednicy i światowe korporacje.

Jako odpowiedź na ten problem powstała inicjatywa Fair Trade (Sprawiedliwy Handel). W 2014 roku na produkty ze znakiem Fair Trade mieszkańcy Globalnej Północy wydali 5,9 miliarda euro. Skorzystało na tym 1,7 miliona drobnych rolników i pracowników plantacji oraz ich rodziny z 72 krajów, czyli w sumie 7,5 miliona ludzi z Globalnego Południa.

Edukacja globalna nie narzuca gotowych rozwiązań. Pokazuje, że realna zmiana może zacząć się od jednej osoby. Nie wystarczy tylko zebrać funduszy na dany cel. Potrzebna jest zmiana świadomości i postrzegania globalnych wyzwań. Co ja mogę dziś zrobić, aby świat był lepszy, niż jest? ▪



Każdy telefon się liczy

Kamila ŁAZICKA

Czy wiesz, że my, Polacy, co roku wyrzucamy 20 milionów telefonów komórkowych, a w domu trzymamy średnio trzy zużyte telefony komórkowe? Jeśli odpowiedzialność za wszystkie powstałe na świecie elektrośmieci podzielimy między mieszkańców Ziemi, to okaże się, że każdy wytwarza co roku 6,6 kilograma odpadów elektronicznych. Czy zwykli ludzie, jak Ty i ja, mają wpływ na skalę tego zjawiska?



„Nasz wpływ na globalną produkcję i recykling elektrośmieci jest mikroprocentowy w porównaniu z masową produkcją tego sprzętu. Jednak, powtarzając słowa Świętej Matki Teresy z Kalkuty, lepiej jest zapalić świecę, niż przeklinać ciemność" – tak rozpoczyna rozmowę ks. Piotr Chmielecki SCJ, zastępca sekretarza Misji Zagranicznych Księży Sercanów. Ksiądz Piotr jest pomysłodawcą programu Zbieramto, który od 2013 roku pośredniczy w odpowiedzialnym dobroczynnym recyklingu, między innymi poprzez zbiórkę zużytych telefonów komórkowych.

Co kryje się za ekranem smartfona?

Już prawie 3,5 miliarda ludzi na świecie korzysta ze smartfonów. Każde z tych urządzeń to kompozycja 30 metali pochodzących z całego świata, takich jak koltan, złoto, miedź, cyna czy lit. Większość z nich pochodzi z Demokratycznej Republiki Konga, Zambii, Chile, Rosji, Indonezji, Chin, RPA. Jednak ich wydobycie często wiąże się z niewolnictwem i przymusową pracą dzieci. „Telefon jest zarówno cenny, jak i niebezpieczny, jeśli chodzi o ochronę natury. Przy wydobywaniu metali szlachetnych dochodzi do olbrzymiego skażenia środowiska, szczególnie w Afryce, gdzie priorytetem jest dochód. Tam praktycznie nie zwraca się uwagi na ochronę środowiska – nie zasypuje się wyrobisk i nie zabezpiecza ich przed zalaniem lub erozją gruntu. Takie działania szkodzą również lokalnym społecznościom – wydobywanie odbywa się w niekontrolowany i rabunkowy sposób. Ci, którzy pracują w kopalni, zarabiają grosze. Według danych Amnesty International coraz więcej produkcji pochodzi z około 150 tysięcy tzw. rzemieślniczych kopalń, w których dorośli i dzieci kopią ręcznie, w nieludzkich warunkach" – podkreśla ks. Piotr.

Sprawiedliwy podział czy niesprawiedliwość społeczna

„Podejście Europejczyków do korzystania ze skarbów ziemi, które kryje Afryka, obrazuje pewna historia, którą widziałem w telewizyjnym reportażu. Międzynarodowa korporacja, aby umożliwić sobie wydobywanie ropy i gazu ziemnego w Kamerunie, przymusowo i zbrojnie wysiedliła ludność zamieszkałą tereny potrzebne pod eksploatację. Jak wiemy, najczęściej ze złożami ropy sąsiadują również pokłady gazu ziemnego. Tego gazu było tak dużo, że wystarczyłoby go na zaopatrzenie całego kraju. Nie istniała jednak sieć rurociągowa w Kamerunie, więc firma spalała ten gaz na miejscu. Czyli złoża, które mogłyby całkowicie zaspokoić potrzeby kraju, zostały wypalone w jednym miejscu, co katastrofalnie pogorszyło jakość powietrza w tym rejonie" – relacjonuje sercanin.

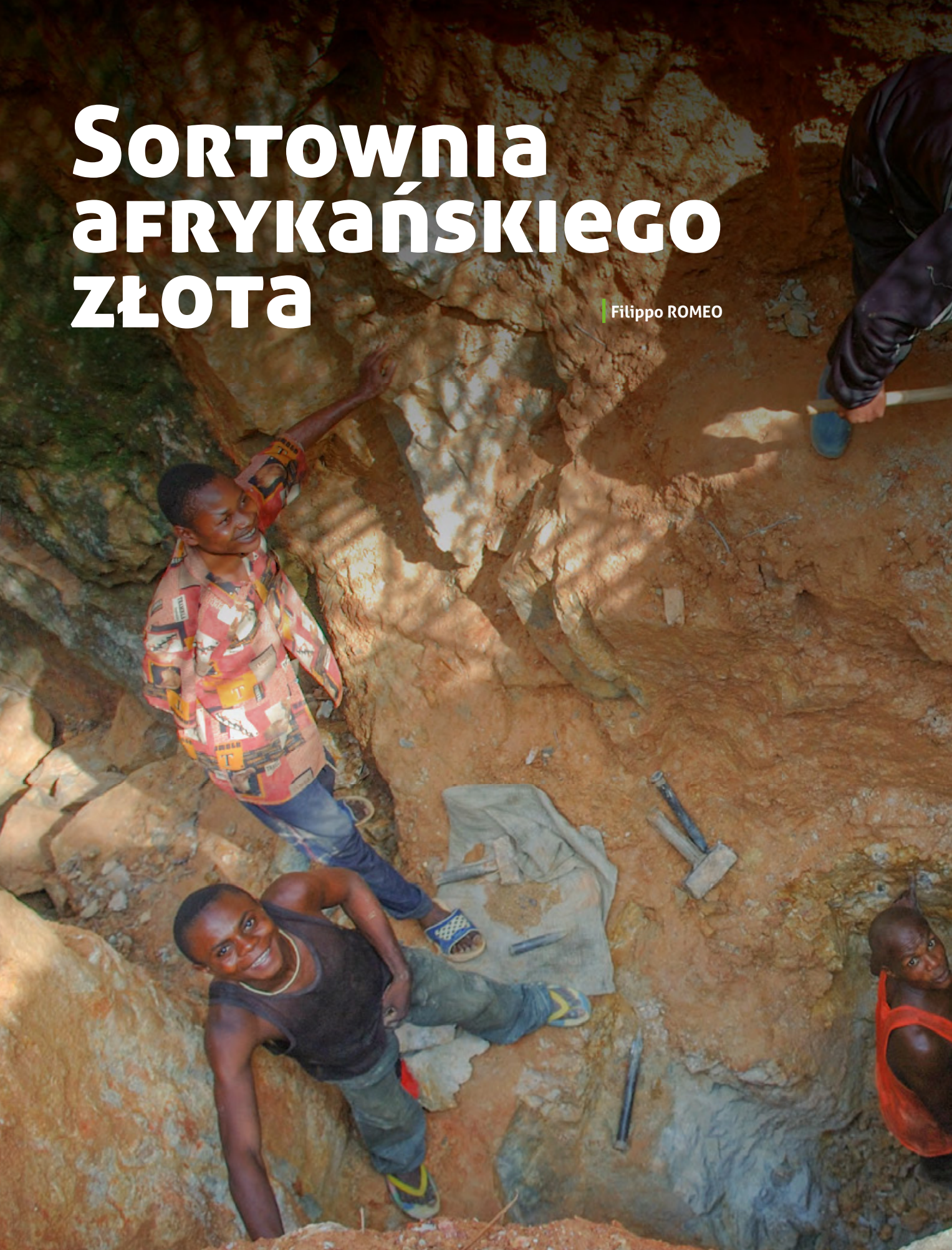
Ta historia pokazuje, że często w pogoni za zyskiem mieszkańcy Globalnej Północy nie liczą się z konsekwencjami, jakie ponosi Czarny Ląd. Takiej rabunkowej polityce sprzyjają wojny domowe i rebelie w wielu afrykańskich krajach. Brak politycznej stabilności ułatwia rabunkową eksploatację tamtejszych ziem.

Lokalny recykling odpowiedzią na globalny problem

Globalne zmiany zaczynają się od lokalnych działań. „Kiedy walczymy o środowisko naturalne, to twarde dane naukowe jasno pokazują nam, że lepszy jest recykling metali niż pozyskiwanie ich z rud. Dlatego jesteśmy pośrednikami dobra. Prowadzimy działalność informacyjną, która łączy firmę recyklingową z posiadaczem starego telefonu. Dobro materialne, które może się wydarzyć dzięki zbiórce telefonów komórkowych, jest związane z tym, że do produkcji elektroniki używa się minimalnych ilości metali szlachetnych. W procesie recyklingu są one odzyskiwane. Dlatego firma Remondis Electrorecycling, operator naszej zbiórki telefonów, może za zebrany sprzęt przekazać darowiznę. My natomiast przemieniamy ją w konkretną pomoc Afryce – budujemy studnie głębinowe. Chociaż nie mamy wpływu na wielkie korporacje, to w ten sposób możemy oddać sprawiedliwość Afryce, nawet jeśli to kropla w morzu potrzeb" – podsumowuje pomysłodawca projektu Zbieramto. ▪

Sortownia afrykańskiego złota

Filippo ROMEO





Złoto to najlepsza inwestycja podczas wielkich kryzysów gospodarczych i finansowych. Minione 15 lat charakteryzowało się zawrotnym wzrostem cen tego kruszcu, co doprowadziło do powstania kilku „rzemieślniczych kopalń" w krajach wschodniej i środkowej Afryki. Takie przedsiębiorstwa w niestabilnych lub konfliktowych strefach, jak w przypadku Afryki, stanowią łakomy kąsek dla gangów przestępczych, grup terrorystycznych oraz wszelkiego rodzaju nielegalnych handlarzy, którzy chcą się nim podzielić i go kontrolować. Biznes staje się jeszcze bardziej brutalny, gdy w grę wchodzi ilość wydobywanego kruszcu, jak ma to miejsce na omawianych obszarach, gdzie wartość wydobywanego złota wynosi około trzech miliardów dolarów rocznie.

Wydobyta ruda stanowi często jedyne źródło dochodu dla około 19 milionów pracowników kopalń i społeczności, do których należą. Chociaż praca jest bardzo ciężka, wykonywana bez żadnej ochrony i angażująca nawet kobiety oraz dzieci (są one małe, więc potrafią wczołgać się do wąskich tuneli), pracownicy otrzymują tylko niewielką część zarobków.

Badania przeprowadzone przez jedną z amerykańskich organizacji (jej celem jest zdemaskowanie ekonomicznych źródeł, które wzniecają i wspierają konflikty zbrojne) wzięły pod lupę cztery najbogatsze w rezerwy złota kraje – Sudan, Sudan Południowy, Republikę Środkowoafrykańską i Demokratyczną Republikę Konga. Ich wspólną cechą jest to, że były areną trwających od dziesięcioleci konfliktów.

Z badań wynika, że w tej chaotycznej rzeczywistości grupy przestępcze mogą swobodnie kontrolować linie zaopatrzenia, zajmując miejsce prawnych pośredników. Mają one powiązania z zagranicznymi firmami poszukującymi łatwych zarobków. Firmy te z kolei za sprawą wykwalifikowanych handlowców tuszują jakiekolwiek więzi z ugrupowaniami zbrojnymi i wprowadzają złoto na legalny rynek. Jeśli spojrzy się bardziej szczegółowo, widać, że we wschodnim Kongu, gdzie każdego roku wydobywa się od 10 do 20 ton złota dzięki pracy około 250 górników zatrudnionych w tym sektorze, mniej więcej 70% kopalń jest kontrolowanych przez przemytników i ugrupowania zbrojne. Podobnie wygląda sytuacja w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie roczne wydobycie złota wynosi około 235 milionów dolarów. Tam też ►

„Chociaż praca jest bardzo ciężka, wykonywana bez żadnej ochrony i angażująca nawet kobiety oraz dzieci (są one małe więc potrafią wczołgać się do wąskich tuneli), pracownicy otrzymują tylko niewielką część zarobków.

27 ugrupowań zbrojnych kontroluje przemyt 90% rocznego wydobycia złota.

Sudan produkuje 90 ton złota rocznie i należy do znaczących producentów tego kruszcu na świecie. Tu produkcja odbywa się na skalę przemysłową z minimalną obecnością kopalń rzemieślniczych. Mimo to obowiązujące zasady są takie same, ponieważ znaczną częścią produkcji zarządzają Armia Wyzwolenia Sudanu (na czele z jej przywódcą, Abdulem Wahidem) oraz Ruch Wyzwolenia Północy Sudanu, które dzięki funduszom generowanym przez kopalnie finansują swoją działalność.

W Sudanie Południowym wydobycie kontrolują dwie główne grupy zbrojne: Ruch Wyzwolenia Ludu Sudanu/Armia Opozycji i Front Ocalenia Narodowego. Złoto produkowane na tych terytoriach trafia na rynek światowy: do Ameryki Północnej (Stanów Zjednoczonych), Europy, Azji i na Bliski Wschód. Jednak zanim tam dotrze, przechodzi przez Dubaj (95% produkcji). Tam jest mieszane ze złotem z legalnego rynku w celu usunięcia wszelkich śladów jego pochodzenia, a następnie oficjalnie umieszczane na rynku międzynarodowym. Praktyce tej sprzyja słabe ustawodawstwo Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA) dotyczące tego tematu oraz nieprawidłowe praktyki kontrolne w kwestii pochodzenia kruszcu i świadectw jego zakupu, a także możliwość dokonywania transakcji gotówkowych lub barterowych. Czynniki te są decydujące dla dużych, międzynarodowych pośredników, którzy są pozbawieni skrupułów i czynią z Dubaju główną sortownię nielegalnie produkowanego złota. Złoto dla gospodarki Emiratów jest strategicznym aktywem, tuż za firmami naftowymi.

> We wschodnim Kongu, gdzie każdego roku wydobywa się od 10 do 20 ton złota dzięki pracy około 250 górników zatrudnionych w tym sektorze, mniej więcej 70% kopalń jest kontrolowanych przez przemytników i ugrupowania zbrojne.



Z Dubaju złoto przewożone jest do Indii, Chin, Szwajcarii i na Bliski Wschód, co jest w istocie procesem recyklingu, za który inne kraje, zwłaszcza Szwajcaria, z pewnością ponoszą nie mniejszą odpowiedzialność. Bez wątpienia, Szwajcaria udziela znaczącego wsparcia tej strategii pośrednictwa z innymi miejscami docelowymi. Tam złoto pochodzące z Dubaju jest poddawane dalszej rafinacji i stamtąd trafia do Wielkiej Brytanii, jednego z największych światowych importerów tego kruszcu.

Wracając do początku podróży, można zauważyć, że – zgodnie z badaniami prowadzonymi przez dyrektora organizacji Africa Confidential Patricka Smitha – z Bukavu w Południowym Kivu (Demokratyczna Republika Konga) co miesiąc w kierunku Zatoki Perskiej przepływa 300 kilogramów złota, podczas gdy oficjalnie jest to tylko pięć kilogramów. Według Mario Giro, byłego wiceministra spraw zagranicznych Włoch, rafinerie obecne na obszarze Wielkich Jezior Afrykańskich produkują aż 330 ton złota, a jedną z największych firm rafineryjnych jest ugandyjska „Afrykańska Rafineria Złota", która może przerobić 219 ton rocznie, oraz rwandyjskie „Aldango". Obie te rafinerie łączy fakt, że są bazą dla belgijskiej firmy, której biuro sprzedaży mieści się w Dubaju.

Wspomniany raport przedstawia również dane dotyczące eksportu

i importu złota, a występujące anomalie wyraźnie pokazują, że Emiraty deklarują, że z krajów afrykańskich importują ilość złota wyższą od wykazywanej na deklaracjach eksportujących go krajów.

W tym przypadku istotna jest sytuacja Sudanu, który oświadcza, że w latach 2010–2014 wyeksportował do Dubaju 152 tony złota, a ten w tym samym okresie otrzymał 248 ton; Ugandy, która zgłasza, że produkuje 3 tony złota rocznie, deklarując jednocześnie, że eksportuje około 9 ton do ZEA; Rwandy z oficjalną produkcją pomiędzy 0,03 a 0,36 tony, podczas gdy dane pokazują, że wyeksportowała ponad 18 ton. To samo dotyczy Kenii, Burundi i Czadu.

Niepokój zaczyna budzić sytuacja w rejonie Sahelu, gdzie grupy dżihadystów próbują przejąć kontrolę nad tym prężnie rozwijającym się rynkiem (łączna roczna produkcja Nigru, Mali i Burkiny Faso wynosi około 50 ton złota). W Zimbabwe, po przeciwnej stronie kontynentu, deklarowany wzrost produkcji budzi podejrzenia, że jest to złoto południowoafrykańskie nielegalnie kupowane i wysyłane do Dubaju.

Kolejnym elementem, który rzuca się w oczy analitykom i na którym należy się skoncentrować, jest partnerstwo krajów Afryki Wschodniej z Emiratami. ZEA poprzez ogromne inwestycje przekraczające 250 miliardów dolarów zdobyły kontrolę nad portami i infrastrukturą – mają swój wkład w afrykańskim odcinku Chińskiego Jedwabnego Szlaku. To sprawiło, że Emiraty stały się aktywnymi uczestnikami lokalnego życia politycznego, ingerując w wewnętrzne kryzysy krajów oraz udzielając wsparcia finansowego i dostarczając broń różnym lokalnym grupom. ▪

Artykuł opublikowany dzięki uprzejmości redakcji „Misjonarze Kombonianie”.



ZBIÓRKA SREBRNEJ I ZŁOTEJ BIŻUTERII

NA BUDOWĘ STUDNI W PUSTYNNYM CZADZIE

ZBIERAMY BIŻUTERIĘ: starą ▪ zniszczoną ▪ zdekompletowaną

JAK PRZEKAZAĆ BIŻUTERIĘ?

Prosimy o nadawanie przesyłek rejestrowanych (list polecony lub paczka) na adres:

Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów,
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn.
+48 537 411 405



nasze projekty misyjne


Ukraina
▪ Pomoc ofiarom wojny na Ukrainie
ks. Piotr Chmielecki SCJ
▪ Budowa centrum charytatywnego i kościoła
ks. Tadeusz Wołos SCJ
▪ Budowa domu misyjnego
ks. Edward Kozhukivskyy SCJ
NADDNIESTRZE
▪ Studia od Serca – stypendia dla młodzieży
ks. Marcin Januś SCJ
ALBANIA
▪ Leki dla przychodni zdrowia
ks. Jarosław Grzegorczyk SCJ
FILIPINY
▪ Dożywianie i edukacja dzieci
▪ Kształcenie kleryków
▪ Adopcja Serc
ks. Franciszek Pupkowski SCJ
ANGOLA
▪ Piekarnia hostii
br. José Manuel Braz Ferreira SCJ
CZAD
▪ Budowa studni
ks. Jakub Szałek
ks. Edward Ryfa
ks. Stanisław Worwa
▪ Wyposażenie szkoły z internatem dla niewidomych dzieci
Daniel Cieszyński
▪ Nowa misja w Lai
ks. Jakub Szałek
▪ Naprawa dachu szkoły
ks. Jakub Szałek
▪ Budowa i wyposażenie przychodni zdrowia
s. Ewa Milanowska CSFA
KENIA
▪ Budowa studni
ks. Zbigniew Chwaja SCJ
TANZANIA
▪ Budowa studni
o. Adam Cytrynowski MAfr
▪ Pomoc dla dziewcząt zagrożonych prostytucją
o. Tomasz Podrazik MAfr
▪ Dzień Dziecka dla dzieci ulicy
s. Cecylia Bachalska MSOLA
RPA
▪ Stypendia dla studentów
ks. Kazimierz Gabryel SCJ
▪ Budowa studni
ks. bp Adam Musiałek SCJ

misje sercanów

pomagaMY z miłością

PROJEKTY REALIZOWANE W 2021 ROKU:



CZAD

Budowa studni **889 212 zł**

Budowa i wyposażenie przychodni zdrowia **194 389 zł**

Naprawa dachu szkoły **54 720 zł**

Budowa studni **384 544 zł**

Pomoc dla dziewcząt zagrożonych prostytucją **171 426 zł**

Dzień Dziecka dla dzieci ulicy **14 655 zł**

TANZANIA





RPA

Stypendia dla studentów **18 900 zł**

Budowa studni **28 155 zł**

Budowa studni **66 960 zł**

KENIA





FILIPINY

Adopcja Serc **211 411 zł**

Dożywianie i edukacja dzieci **74 059 zł**

Kształcenie kleryków **100 378 zł**

Rozbudowa kościoła w Concepción **54 800 zł**

Adopcja Nadziei **288 307 zł**

BOLIWIA





Naddniestrze Studia od Serca – stypendia dla młodzieży **74 194 zł**

Leki dla przychodni zdrowia **46 807 zł** **Albania**





Ukraina Budowa centrum charytatywnego i kościoła **100 000 zł**

Budowa domu misyjnego **300 000 zł**

Intencje mszalne dla misjonarzy **368 136 zł**

Środki transportu dla misjonarzy **64 387 zł**

Leczenie misjonarzy **14 337 zł**

Utrzymanie Domu dla misji w Olsztynie **57 500 zł**

Inne projekty



W sumie: 3 577 277 zł

Każdego roku możemy przekazywać misjonarzom coraz większą pomoc finansową. Jesteśmy Państwu za to niezwykle wdzięczni. Jest to dla nas też wielkie zobowiązanie – rosnące liczby świadczą o Waszym zaufaniu do nas i misjonarzy, którzy realizują projekty ewangelizacyjne i charytatywne. Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów określamy jako „most" pomiędzy Darczyńcami a misjonarzami i ich podopiecznymi. Każdego dnia wytrwale pracujemy, aby zrealizować to zadanie łączenia tych, którzy chcą pomagać, z potrzebującymi, którym misjonarze głoszą Dobrą Nowinę. Wielką radością jest dla nas fakt, że pomocą materialną wspieramy także misjonarzy nienależących do grona księży sercanów: siostry zakonne, księży diecezjalnych, misjonarzy świeckich. Dziękujemy Wam, że razem tworzymy Sercańską Rodzinę Misyjną!

Intencje mszalne dla misjonarzy

Misjonarze posługują najczęściej wśród bardzo ubogich ludzi. Nasze projekty pomocowe skierowane są właśnie do tych, do których misjonarze przychodzą z Ewangelią. Sami księża także potrzebują wsparcia w codziennym utrzymaniu: muszą kupić żywność, odzież, zapłacić za paliwo czy naprawę samochodu. Możemy ich wesprzeć poprzez zamawianie intencji mszalnych.

Przyjmujemy intencje mszalne:

+ jednorazowe
+ gregoriańskie – 30 Mszy św. za jedną osobę zmarłą
+ nazaretańskie (do Dworu Niebieskiego) – 30 Mszy św. za osoby żyjące
+ wieczyste

KONTAKT:
ks. Marek Przybyś SCJ
tel. 797 535 622
e-mail: modlitwa@misjesercanow.pl



Drodzy Darczyńcy Misyjni!

Dzięki Wam możemy nieść pomoc misjonarzom, którzy głoszą Ewangelię w najbiedniejszych rejonach świata. I chociaż brak pieniędzy nie jest przeszkodą w mówieniu o Jezusie, to z pewnością możliwość dożywiania dzieci, budowy studni czy przychodni zdrowia bardzo pomaga misjonarzom w ich pracy. Z całego serca dziękuję, że finansujecie dzieła ewangelizacyjne i socjalne wspierane przez nasz Sekretariat Misji Zagranicznych!

ks. Piotr Chmielecki SCJ

nr rachunku odbiorcy
79 1600 1462 1847 3641 5000 0008

odbiorca:
Sekretariat Misji Zagranicznych
Księży Sercanów
ul. Rakowa 11
10-185 Olsztyn

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

☐ **Ofiara na misje – tam gdzie najbardziej potrzeba**

☐ **Budowa studni w Czadzie**

☐ .....

☐ .....

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy
Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów

nazwa odbiorcy cd.
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

nr rachunku odbiorcy
7 9 1 6 0 0 1 4 6 2 1 8 4 7 3 6 4 1 5 0 0 0 0 0 0 0 8

waluta: W P P L N

kwota:

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

tytułem

☐ **Ofiara na misje – tam gdzie najbardziej potrzeba** ☐ **Budowa studni w Czadzie**

☐ ..... ☐ .....

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

nr rachunku odbiorcy
79 1600 1462 1847 3641 5000 0008

odbiorca:
Sekretariat Misji Zagranicznych
Księży Sercanów
ul. Rakowa 11
10-185 Olsztyn

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

☐ **Budowa studni w Tanzanii – sprzęt do wiercenia**

☐ **Budowa kościoła i centrum charytatywnego na Ukrainie**

☐ **Adopcja Nadziei w domu dziecka w Boliwii**

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy
Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów

nazwa odbiorcy cd.
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

nr rachunku odbiorcy
7 9 1 6 0 0 1 4 6 2 1 8 4 7 3 6 4 1 5 0 0 0 0 0 0 0 8

waluta: W P P L N

kwota:

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

tytułem

☐ **Budowa studni w Tanzanii – sprzęt do wiercenia**

☐ **Budowa kościoła i centrum charytatywnego na Ukrainie** ☐ **Adopcja Nadziei w domu dziecka w Boliwii**

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

ADMINISTRATOR DANYCH OSOBOWYCH

Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego (księża sercanie) Prowincja Polska – Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa.
Dane kontaktowe: Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów:, ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn, email: **kontakt@misjesercanow.pl**, telefon: 537 411 405.

1. Dane osobowe są przetwarzane:
1.1. W celu przekazania darowizny
Jeśli decydują się Państwo przekazać nam darowiznę, Państwa dane osobowe przetwarzane są w celu rozliczenia otrzymanych darowizn oraz ewentualnego kontaktu z darczyńcą w celu przesłania podziękowań za przekazaną darowiznę. Przetwarzanie danych Darczyńców w celu rozliczenia otrzymanych darowizn jest naszym obowiązkiem i wynika z przepisów prawa.
Natomiast podanie przez Państwa danych takich jak numer telefonu lub adres e-mail w celu umożliwienia nam kontaktu z Państwem odbywa się za Państwa zgodą. Wyrażenie zgody jest dobrowolne.
Dane Darczyńców przetwarzanych w celu rozliczenia darowizny będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku następującego po roku ostatniej czynności księgowej. Dane wykorzystywane do celów analitycznych będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku momentu zakończenia analizy danych. Natomiast dane kontaktowe będziemy przetwarzać do czasu odwołania przez Państwa zgody.

1.2. W celu skontaktowania się z nami
Mogą Państwo kontaktować się z nami poprzez wysłanie wiadomości e-mail lub telefonicznie. Podanie danych osobowych w celu uzyskania kontaktu jest dobrowolne, za Państwa zgodą. Zakres przetwarzanych danych osobowych zależy od tego, z jaką sprawą Państwo się do nas zwracają (np. przesłanie oferty i nawiązanie współpracy, darowizna, sprawy związane z realizacją czy udziału w projektach itp.).

1.3. Zostawiając komentarz w mediach społecznościowych
Jeśli kontaktują się Państwo z nami za pośrednictwem mediów społecznościowych: Facebook, lub wysyłając wiadomość prywatną, udostępniając posty lub zostawiając komentarz, przetwarzamy Państwa dane osobowe, którymi posługują się Państwo w tych mediach. Korzystanie z powyższych kanałów jest dobrowolne i odbywa się za Państwa zgodą.

2. Wycofanie zgody na przewarzanie danych osobowych
Zgodę, udzieloną na przetwarzanie danych osobowych w celach kontaktowych, oraz w ramach realizacji Projektu mogą Państwo wycofać wysyłając e-mail na adres: **kontakt@misjesercanow.pl** o treści: „Wycofuję zgodę na przetwarzanie danych osobowych w zakresie adresu e-mail/nr telefonu (**proszę podać adres e-mail**)", listownie lub osobiście w siedzibie ADO.
Wycofanie zgody może być złożone wyłącznie przez właściciela danych osobowych. ADO zastrzega sobie prawo weryfikacji tożsamości osoby wycofującej zgodę w celu zapewnienia prawidłowej realizacji uprawnień.

3. Udostępnianie danych osobowych
Zgromadzone dane osobowe mogą być udostępniane m.in.:
- dostawcom systemów informatycznych oraz podmiotom współpracującym w celu wykonywania czynności technicznych mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa tych systemów,
- podmiotom świadczącym usługi pocztowe i kurierskie zgodnie z prawem pocztowym w celu prowadzenia korespondencji tradycyjnej;
- podmiotom świadczącym usługi korespondencji email, takim jak GetResponse;
- systemów bankowych lub instytucji płatniczej – Przelewy 24 za pomocą której realizowane są wpłaty.

Ujawnianie danych osobowych prowadzone jest zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa oraz wyłącznie w sytuacjach gdy jest to niezbędne w celu realizacji i rozliczania świadczonych usług z zapewnieniem poufności przetwarzanych danych osobowych.
W przypadku korzystania z mediów społecznościowych dane osobowe będą przetwarzane w krajach, mogących nie zapewniać dostatecznego poziomu ochrony danych osobowych, np. w USA lub innych krajach, w których dostawcy mediów mają swoje serwery przetwarzające dane. Dane osobowe mogą być przeglądane i gromadzone przez amerykańskie służby (NSA, FBI, CIA), a Właściciele danych nie mają możliwości dostępu do sądowych środków prawnych w celu obrony przeciwko przetwarzaniu danych osobowych przez te służby.

4. Prawa właścicieli danych osobowych
W związku z prowadzonym przetwarzaniem mają Państwo prawo żądania:
- dostępu do swoich danych osobowych i ich poprawiania zgodnie z przepisami,
- ograniczenia przetwarzania swoich danych osobowych,
- usunięcia swoich danych osobowych w przypadku danych przetwarzanych na podstawie udzielonej zgody,

Przysługuje Państwu także prawo złożenia skargi do Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych.
W celu kontaktu w sprawach związanych z ochroną danych osobowych należy kontaktować się z inspektorem ochrony danych: ks. Marek Stokłosa, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa, tel. 022 849 43 51.

ELEMENTY WYPOSAŻENIA WIERTNI



8 870 zł
Wiertło węglowe do skał



2 880 zł
Młot udarowy



1 710 zł
Żerdź wiertnicza



490 zł
Klucz konwersyjny

63 300 zł **Pompa wodno-błotna do wiertni**

Potrzebujecie państwo więcej blankietów przelewów?
Powiadomcie nas o tym: 537 411 405 | kontakt@misjesercanow.pl

ZBIERAMY
DOBRE MONETY





ZBIERAMY
MONETY I BANKNOTY

będące aktualnie w obiegu
lub wycofane z użycia:

- **WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA**
  np. euro, dolary, funty, korony
- **PIENIĄDZE WYCOFANE Z OBIEGU**
  np. polskie z PRL, marki niemieckie
- **MONETY KOLEKCJONERSKIE**
  np. 2 zł Nordic Gold
- **POLSKIE GROSZE**
  1, 2, 5, 10, 20, 50 gr

WSPIERAMY
DZIECI Z DOMU DZIECKA

„Hogar de la Esperanza"
w Santa Cruz w Boliwii

JAK WYSŁAĆ DOBRE MONETY?

Prosimy o nadawanie
przesyłek rejestrowanych na adres:
Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn
tel. +48 537 411 405



CORISS

piękno, które pomaga

CORISS to nie tylko piękno zamknięte w małym kawałku srebra czy złota.
Dzięki tej biżuterii chcemy opowiadać o miłości Boga do człowieka.
To idealny prezent dla bliskich. Biżuteria z misją.

MEDALIK ŚW. BENEDYKTA
(srebro 925 pozłacane)
99 zł



NASZYJNIK CELEBRYTKA
(srebro 925 pozłacane)
159 zł



BRANSOLETKA RÓŻANIEC
(amazonit, srebro 925)
159 zł



BRANSOLETKA Z PEREŁ
(perły słodkowodne,
srebro 925 pozłacane)
139 zł



CORISS powstało, aby wspierać działania
Sekretariatu Misji Zagranicznych Księży Sercanów.
Zysk ze sprzedaży biżuterii CORISS przekazujemy misjonarzom
na budowę studni głębinowych w Afryce.

misje sercanów

WWW.CORISS.PL

tel. 504 090 168 coriss.jewellery coriss_jewellery